

DEKADA Literacka

ISSN 0867-4094
Nr indeksu 356-875

Nr 1(159) Rok X
31 I. 2000 Kraków
Cena 2 zł

LITERATURA KRAJÓW BYŁEJ JUGOSŁAWII: Svetislav **Basara** Neda Miranda **Blažević** Branko **Čegec** Ivan **Čolović** Aleš **Debeljak** Drago **Jančar** Semezdin **Mehmedinović** Mihajlo **Pantić** Pavao **Pavličić** Milutin **Petrović** Vladimir **Pištaló** Bratislav **Taškowski** Ivo **Žanić** oraz Maria **Dąbrowska-Partyka** Julian **Kornhauser** Barbara **Oczkova**

Ivo Žanić **Drogi Tito, my ci przysięgamy...**

Drogi Tito, my się wyrzynamy
(graffiti z Sarajewa, wrzesień '91)



Banalny z pozoru, a w istocie – o epokowym znaczeniu – epizod finalnych momentów vukovarskiej tragedii miał miejsce 4 listopada, w dniu święta gwardyjskich jednostek Jugosłowiańskiej Armii Ludowej. W owym to dniu ich delegaci nawiedzili belgradzki Dom Kwiecia, odstali sakramentalną minutę ciszy przy grobie Tity, a w księdze pamiątkowej, jak nakazuje już od dziesięciolecia ustalony rytuał, pozostawili stosowny wpis. Tym razem było to przyrzeczenie, że „kontynuować będą świetlane tradycje swojego naczelnego wodza i w jego imieniu wyrwą z rąk ustaszów Vukovar – miasto, w którym narodziła się Komunistyczna Partia Jugosławii”.

Z pozoru była to jeszcze jedna z niezliczonych politycznych pielgrzymek, które w latach osiemdziesiątych stały się znakiem firmowym Jugosławii, bardziej tym razem – co prawda – ponura i całkiem już anachroniczna. Co więcej, wpis ten nie wyróżniał się nawet swoją terminologią, ponieważ oficerowie, którzy już wkrótce mieli stać się mordercami, nie wykroczyli w nim poza kategorię, w obrębie której poruszali się ich poprzednicy, a mianowicie – poza kategorię przysięgi („Przysięgamy Ci w Twoim imieniu wyzwolić...”). Choć jest to kategoria wciąż jeszcze żywa w ludowym systemie wartości, zwłaszcza na wsi, kiedy to umierający ojciec przekazuje synom swoją ostatnią wolę, ci zaś ową wolę przyjmują i przysięgają wypełniać do końca swoich dni, a – w razie potrzeby – przekazać ją następnej generacji (panuje bowiem przekonanie, że niewypełnienie ostatniej woli lub sprzeciwienie się jej jest grzechem ciężkim, obarczającym potomnych aż do dziewiątego pokolenia), to jednak interpretacja wyżej wspomnianej, testamentalnej pielgrzymki zmierzać powinna w nieco innym kierunku.

W Biblii motyw przymierza/przysięgi jest znakiem idei życia w jedności z Bogiem, do którego powołuje On ludzi; idei, stanowiącej podstawę całej nauki o zbawieniu. Motyw ten jest fundamentem teologii biblijnej: lud Izraela bowiem, wywiedziony z niewoli egipskiej, zawarł na Synaju przymierze, dzięki któremu Jahwe stał się Bogiem narodu żydowskiego. Bóg zaś uczynił lud Izraela „narodem przez Siebie wybranym” i przyrzekł doprowadzić go do Ziemi Obiecanej, na co lud odpowiedział Mu wiarą. Warunkiem utrzymania tej wiary było również i to, że lud Izraela przyjąć musiał wolę Bożą, która gęstą siecią nakazów opłótł całą jego egzystencję, tak religijną, jak i polityczną, określając w ten sposób na zawsze jego historyczne losy, zgodnie z fundamentalną formułą przymierza: „Będziecie ludem Moim, a ja Bogiem waszym!”

Przymierze synajskie odkryło w sposób definitywny istotny aspekt planu zbawienia: Bóg pragnie połączyć ze sobą poszczególnych ludzi, przekształcając ich we wspólnotę oddaną Jego służbie, posłuszną Jego prawom, obdarzoną Jego obietnicami.

Tak właśnie – w zgodzie z owym fundamentalnym wzorcem – funkcjonowała w świadomości wielu ludzi jugosłowiańska wspólnota państwowa: przeżywano ją nie jako *fakt polityczny*, świecki, osadzony w kategoriach „doczesności”, lecz jako *fakt sakralny*, a więc *religijny*, ujmowany w kategoriach „wieczności”, ufundowany

Fotografia Grażyna Borowik

CIĄG DALSZY NA STR. 16

Wydawca:
KRAKOWSKA
FUNDACJA KULTURY

Adres redakcji:
ul. Kanonicza 7
31-002 Kraków
tel./fax 422-47-73

Redakcja:
Marta Wyka redaktor naczelny
Teresa Walas sekretarz redakcji
Krzysztof Lisowski
Włodzimierz Maciąg
Agnieszka Kosińska
Aleksander Pieniek red. graficzny
Bogdan Rogatko

Współpracują:
Stanisław Balbus
Piotr Bukowski
Jarosław Fazan
Julian Kornhauser
Robert Ostaszewski
Stanisław Rodziński
Małgorzata Ruda
Jan Józef Szczepański

Skład: Jan Szczurek

Druk: KRAKOWSKA
DRUKARNIA PRASOWA
Kraków, ul. Nowohucka 50

*Redakcja nie zwraca
materiałów nie zamówionych
i zastrzega sobie
prawo skrótów*

Warunki prenumeraty:
Prenumerata roczna krajowa
wynosi 36,00 PLN
półroczna - 18,00 PLN
kwartalna - 9,00 PLN
Prenumerata roczna
zagraniczna wynosi 18 USD
półroczna - 9 USD
kwartalna - 4,50 USD
Cena egzemplarza
DEKADY LITERACKIEJ
w prenumeracie krajowej
wynosi: 3,00 PLN
Cena egzemplarza
DEKADY LITERACKIEJ
w prenumeracie zagranicznej
wynosi: 1,5 USD*
Cena za egzemplarz archiwalny
(nie z roku bieżącego)
wraz z wysyłką wynosi 2 PLN
Płatników VAT-u prosimy
o podawanie NIP-u.
Potwierdzeniem
przyjęcia prenumeraty
jest wystawienie przez KFK
rachunku uproszczonego
lub faktury VAT.

*w przypadku wpłaty w PLN
- wg aktualnego kursu NBP

Prenumeratę prosimy wpłacać
na konto KRAKOWSKIEJ
FUNDACJI KULTURY
BPH IV O/Kraków
10601389-709987-27000-500101

Maria Dąbrowska-Partyka W obliczu Pyrrusowego zwycięstwa...

Z przykrością myślę o nieuniknionej chwili rozejścia się Słowenii i Jugosławii. (...) Rozsądek podpowiada, że tak być musi, gdyż państwo to od początku nie było właściwie skonstruowane. A mimo to... Spędziliśmy z nim i w nim całe życie. Kocham Dalmację, sentymentalne wspomnienia łączą mnie z pełnymi wino nocami, z oszalałymi zapachami Morza Śródziemnego, zimnym kamieniem jej placów i kościołów; antyk, renesans, cisza ogrodów w katolickich klasztorach na wyspach. Rzeki Bośni, symbioza kultur i religii w Sarajewie, gwar i ścisłe wschodnie targowiska, uderzenia delikatnych młoteczków obrabiających miedź w maleńkich warsztatach na wąskich uliczkach. Biblijna Macedonia, chrapliwa mowa moich macedońskich przyjaciół, pełna przemysłowych, emocjonalnych przeskoków myślowych. Dunaj, Nowy Sad, gdzie w czasie festiwalu sztuk teatralnych przy cygańskiej muzyce celebrowaliśmy przemijającą sławę teatru i topiliśmy w winie równie przemijające momenty (nie-sprawiedliwych) porażek. Belgrad i jego nie-spożyta żywotność, poranne zapachy dochodzące z niezliczonych piekarni, serbscy koledzy obdarzeni niegdyś politycznym czarnym humorem, który dziś chyba zaginął, wyrażoną ironią i autoironią. Południowa Serbia, miasteczko Vranje, gdzie wbrew mojej woli jako żołnierz spędziłem rok swego życia i gdzie oprócz obrzydliwych koszar poznałem również paradoksalną mieszkankę orientального sybarytyzmu i prawosławnej mistyki; słodki smutek. Morawa, słowiańskie pieśni przy wtórze orientalnych bębnow. I w końcu Zagrzeb (...) Zagrzeb ze wzrokiem utkwionym w Wiedniu, ale oboma nogami stojący na Bałkanach, (...) jego historyczny patos, chorwackie szachownice, wyraźnie katolicki mesjanizm, centrum regionu broniącego zachodniej cywilizacji: antemurale christianitatis.¹

Taki obraz sentymentalnej i kulturalnej Jugosławii, który rzeczywistość lat dziewięćdziesiątych zmiołła z powierzchni ziemi i próbowała ostatecznie usunąć z ludzkiej pamięci, nakreślił wybitny pisarz słoweński Drago Jančar w styczniu 1991 roku, w kilka dni po plebiscycie, w którym 88% Słoweńców wypowiedziało się za wyłączeniem swojego kraju z jugosłowiańskiej federacji.

Taka była i nasza Jugosławia, dla większości Polaków – o wiele mniej skomplikowana i bardziej jednorodna, niż w tym nostalgicznym wspomnieniu. Potoczna polszczyzna operowała w owym czasie pojęciem jugosłowiańskiego narodu, jugosłowiańskiej kultury i literatury, przybysze z Polski potrafili się dogadywać „po jugosłowiańsku”. Pracowite wyjaśnienia, że sprawa bynajmniej nie przedstawia się tak prosto, kwitowano na ogół odruc-

chem zdziwienia lub zniecierpliwienia: po co tak komplikować to, co przeciętny polski turysta (na ogół handlowy) widział na własne oczy, słyszał na plaży lub bazarze, obserwował w sklepach i na ulicach.

Jednak pod tą powierzchnią, z którą nadal trudno pożegnać się naszym emocjom i sentymentom, tliły się zadawnione i zupełnie nowe konflikty. I wreszcie – ów z pozoru idylliczny jugosłowiański monolit rozsypał się na oczach świata, zdumionego brutalnością nieprzeczuwanej katastrofy.

Jak zatem miały się do rzeczywistości jugosłowiański naród, język i literatura?

W pierwszych dwu przypadkach odpowiedź jest w miarę prosta: naród jugosłowiański był ideologicznym konstruktem stosunkowo świeżej daty, w którym można by się dopatrzeć zdumiewająco wielu analogii z narodem radzieckim. Nie musi to wcale oznaczać, że ludzie deklarujący narodowość jugosłowiańską byli oportunistami, hipokrytami lub „ideowymi internacjonalistami”. Często bowiem towarzyszyła takiej deklaracji niechęć wobec jednoznacznego określania swojej przynależności etnicznej w wielokulturowym, wielonarodowym środowisku, naznaczonym traumatyczną pamięcią mordów dokonywanych w imieniu narodu podczas drugiej wojny światowej. Pamięci zacieranej szczytnym, choć mało skutecznym hasłem „braterstwa i jedności”, zakorzenionym w dziewiętnastowiecznym panslawizmie i słowianofilistwie. Z „jugosłowiańskim językiem” sprawa jest jeszcze bardziej oczywista – język taki po prostu nigdy nie istniał.

Przed o wiele trudniejszymi pytaniami stawiają nas pojęcia współczesnej kultury jugosłowiańskiej oraz dziewiętnasto- i dwudziestowiecznej jugosłowiańskiej literatury. Dziewiętnastowieczne projekty Wielkiej Sławii czyniły swym punktem wyjścia powrót do pierwotnej jedności „narzęczy słowiańskiego języka” i „szczepów słowiańskiego narodu”, jak wyrażał to piszący po czesku i niemiecku Słowak, Jan Kollár, jeden z duchowych przywódców słowiańskiego odrodzenia narodowego. Fundamentem owego powrotu miała stać się słowiańska wspólnota literacka i kulturalna, prowadząca do zjednoczenia językowego i politycznego. Na fali owego zjednoczeniowego entuzjazmu narodziła się wspólna, serbsko-chorwacka norma językowa, od której stanowczo odżegnali się Słoweńcy, choć i wśród nich nie zabrakło entuzjasty „języka ilirskiego”, który w rezultacie został czołowym poetą romantyzmu... chorwackiego.

Obydwa niedawno minione stulecia układają się w cykl wymiennych przyływów i odpływów entuzjazmu i rozczarowania dla idei jugosłowiańskiej wspólnoty. Jest jednak prawdą niezaprzeczalną, że – choć nigdy nie istniała jednorodna kultura i literatura jugosłowiańska – to z pewnością istniały i funkcjonowały jugosłowiańskie obłogi kulturalne, czytelnicze i literackie. W ich obrębie literatura wywodząca się z różnych środowisk etnicznych, cywilizacyjnych i kulturowych egzystowała jako barwny, różnorodny konglomerat estetyk i światopoglądów; jako pole konfrontacji i (często dysonansowej) harmonii niezwykle zróżnicowanych, a zarazem korespondujących ze sobą światów.

To właśnie literatura „jugosłowiańska”, a właściwie składające się na nią literatury narodowe, powołały do życia tę Jugosławię sentymentów i „pięknych różnic”, którą w swoim wspomnieniu wskrzesił Drago Jančar. Należały do niej wspaniała, ponura i tchnąca wiarą w ludzi Bośnia Ivo Andrića i Mešy Selimovicia, jej tajemnicza bogomilska przeszłość wskrzeszona w poezji muzułmanina – Maka Dizdara, świat adriatyckich wysepek Petra Šegedina i Slobodana Novaka, językowa wirtuozeria i dezynwoltura późnych tomów poetyckich Ivana Slamniga, macedoń-

ska mityczna wieś Paskvelija Živka Činga, żydowsko-prawosławne rodzinne fantasmagorie Danila Kiša, mieszczańskie, grecko-serbskie sagi i „kosmopolityczne” antyutopie Borislava Pekicia, drobnomieszczański Zagrzeb i chłopskie Zagorje w przesyconych spazmatyczną Hassliebe utworach Mirosława Krleży, zaginiony lud Chazarów zamieszkujący karty „postmodernistycznego słownika” Milorada Pavicia, tajemniczy anioł z fresków monasteru w Arilju patronujący poezji Branka Miljkovicia, galernicy egzystencji z powieści Ivana Tavčara i Drago Jančara, groteskowo tragiczne postaci Miodraga Bulatovicia, zgiełk ciszy i chaos porządku współczesnego świata utrwalaony w wierszach Tomaža Šalamuna.

To wszystko także było Jugosławią, nawet jeśli znakomita większość jej twórców odżegnywała się od myślenia o sobie, o swojej sztuce i światopoglądzie, w kategoriach „jugoslawizmu”. Było Jugosławią tym bardziej, że dla świata zewnętrznego podkreślanie owej wewnętrznej, niezwykłej różnorodności stanowiło najczęściej wyraz egzotycznych partykularizmów, irytujących i pociągających zarazem, bo rozbijających na jeszcze mniejsze całości i tak już niewielką, peryferyjną i mało znaną „kulturę i literaturę jugosłowiańską”. Rzeczywistość końca wieku dowiodła, że ów rzekomy „partykularizm” okazał się siłą potężną i niszczącą, radykalnie przeciął więzi rzekome i autentyczne, zrujnował Jugosławię nie tylko polityczną, ale i „emocjonalną”. Był to czas żywiołowego odejścia ze świata „pięknych różnic” w świat „narodowego realizmu”; był to moment „nieoczekiwanej zmiany miejsc” w kontredansie otwartości i ksenofobii, prywatnych przyjaźni i zbiorowej wrogości, historycznej rzetelności i politycznego mitu. Czas rzezi i katastrofy, z którego wyłoniło się ostateczne (?) zwycięstwo Narodowych Korzeni nad tym (jak to się dość nagle objawiło wielu literatom, ludziom nauki, kultury i polityki) „od zawsze poronionym”, „od zawsze znienawidzonym” tworem ideologii i historycznych okoliczności, jakim była Jugosławia. Jugosławia, czyli „fikcyjne królestwo fikcyjnych języków”, kraina zaklamanych wyobrażeń, „wynarodowionej” sztuki, manipulowanej literatury, zafałszowanych tradycji. Odnaleziono nowych „ojców narodu”, ogłoszono nowe „niepodważalne prawdy historyczne”, literaturę znów uczyniono „przewodniczką narodów”. I tylko Andrić, jedyny literacki noblista tamtych okolic świata i Europy, stał się nagle pisarzem niczym. Pisarzem odrzuconym przez wszystkich: katolikiem, który zdradził Chorwację, Serbem – z wyboru – który podle szkalował „narod namaszczony przez Boga i Historię”, Bośniakiem, który nienawidził muzułmanów a gloryfikował Serbów. Pisarstwu Andrića te „patriotyczne interpretacje” w niczym naturalnie nie zaszkodziły, ale jego potencjalnym a niezrealizowanym czytelnikom mogły odebrać coś niezwykle cennego: możliwość zadumy nad meandrami własnej historii, nad bezsilnością jednostki, miażdżonej w jej potężnych trybach. I tych niezrealizowanych lektur, związanych z funkcjonowaniem nie-

CIĄG DALSZY NA STR. 8

Niniejszy numer DEKADY LITERACKIEJ ukazuje się dzięki pomocy:

– Fundacji im. STEFANA BATOREGO
– Gminy KRAKÓW
– Ministerstwa Kultury
i Dziedzictwa Narodowego
– Szwajcarskiej Fundacji dla Kultury
PRO HELVETIA

Numer przygotowali:
MARIA DĄBROWSKA-PARTYKA
JULIAN KORNSHAUSER

Uprzejmie zawiadamiamy, że ze względu na niejasną sytuację finansową pisma nie możemy na razie przyjmować prenumerat na rok 2000. Tym zaś, którzy już wpłacili stosowne kwoty tytułem prenumeraty DEKADY LITERACKIEJ, zwrócimy pieniądze, jeżeli nie będziemy mogli wywiązać się z realizacji zobowiązania. Czytelników, którzy chcieliby prenumerować DEKADĘ LITERACKĄ w roku obecnym, prosimy o zgłoszenie tego na karcie pocztowej.

Zarząd Krakowskiej Fundacji Kultury

Pozorowanie idylli nie ma sensu

Z BRANKO ČEĞEC rozmawia DALIBOR ŠIMPRAGA



BRANKO ČEĐEC

Fotografia Nenad Reberšak, „Vijenac”

BRANKO ČEĐEC urodził się w 1957 r. w miejscowości Kraljev Vrh koło Vrbovca. Ukończył filologię chorwacką oraz kierunek: literatury w ujęciu komparatystycznym na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu w Zagrzebiu. Opublikował kilka zbiorów poezji: *Eros-Europa-Arafat* (1980), *Melankolični ljetopis* (1988), *Ekrani praznine* (1992), esej pt. *Presvlačenje avangarde* (1983) oraz zbiór esejów i artykułów pt. *Fantom slobode* (1994). Był redaktorem naczelnym czasopisma i biblioteki *Quorum* (1985-1989) oraz pisma poświęconego kulturze *Oko* (1989-1990). Redagował także *Pitanja*, *Polet* oraz *Republikę* i pracował w charakterze redaktora w oficynie wydawniczej *Mladost*. Obecnie jest właścicielem i redaktorem wydawnictwa *Meandar*.

Čeđec jest także dyrektorem wpływowego stowarzyszenia *Hrvatski neovisni nakladnici* (Chorwackich niezależnych wydawców), założonego w 1998 roku i skupiającego małe i średnie oficyny wydawnicze.

Jest to wprawdzie kwestia raczej znana, nie zaszkodzi jednak raz jeszcze przypomnieć: o co właściwie chodzi w tzw. inicjatywie frankfurckiej?

— Cała ta inicjatywa banalnie nazwana została *Apelem o swobodną wymianę książek, czasopism i myśli na obszarze krajów byłej Jugosławii*, a dotyczy przede wszystkim krajów, które nie uregulowały jeszcze problemów obrotu płatniczego, i z którymi normalna wymiana handlowa — czegokolwiek, w tym także książek — jest niemożliwa. Apel otwarcie opowiada się za możliwością normalnej komunikacji, za otwartym obszarem kultury, na którym nikt nie będzie ustanawiać co wolno, a czego nie wolno czytać i przechowywać w prywatnych bibliotekach domowych. Sposób, w jaki — przynajmniej na początku — zareagowano na ten tekst, nie ma żadnego związku z jego treścią, nie warto więc o tym tutaj mówić.

Jak powinno to wyglądać w literackiej (i wydawniczej) praktyce?

— Zwyczajnie, jak zwyczajna jest każda normalna wymiana handlowa. Podobnie jak handlujemy z Niemcami, Włochami lub Turcją. Nie wiem, dlaczego sądzi Pan, że powinno to wyglądać jakoś inaczej. Apel napisany został z myślą o nawiązaniu normalnych kontaktów i ustaleniu dróg wymiany handlowej.

Jakie są konkretne możliwości rozprowadzania książek w krajach byłej Jugosławii? Czy prowadził Pan już jakieś rozmowy na ten temat?

— Możliwości jak dotąd nie ma żadnych, ale istnieje, niewątpliwie zainteresowanie tym rodzajem pozycji wydawniczych, jakie proponuje moja oficyna. Rozmawiałem o tym z ludźmi, którzy odwiedzali mnie na targach frankfurckich. Jeśli jakiś księgarz z któregoś z państw na obszarze byłej Jugosławii twier-

dzi, że bez ryzyka może zakupić po około sto egzemplarzy spośród jakichś osiemdziesięciu procent moich tytułów, trudno, żeby mnie to nie interesowało, gdyż jest to liczba zbliżona do tej, jaką ewentualnie Ministerstwo Kultury odkupuje dla bibliotek. Biorąc pod uwagę ogólną, rozpaczliwą sytuację, w jakiej funkcjonuje ruch wydawniczy w dzisiejszej Chorwacji, nie mogę sobie pozwolić na luksus, by taką propozycję odrzucić.

Jak Pan sądzi, czy istnieje dla was, niezależnych wydawców, jakaś perspektywa stosunkowo szybkiej zmiany sytuacji? Jest rzeczą oczywistą, że funkcjonowanie tych oficyn podobnie jak drobnych wydawców napotyka na poważne trudności.

— Wydaje mi się, że los wydawców jest jednakowo zły, niezależnie od tego czy chodzi o drobnego wydawcę, czy nieco większego. Inaczej funkcjonuje jedynie bardzo wąski krąg oficyn wydawniczych związanych bezpośrednio z projektami dotyczącymi tzw. „interesu narodowego” i budżetu państwa. Sytuacja zmieni się w momencie, gdy kultura chorwacka otrzyma odpowiedni program polityki kulturalnej, strategię priorytetów kulturowych, wydawcy zaś ustawę o książce i działalności wydawniczej; a także wtedy, gdy dystrybucja wydatków na kulturę stanie się w pełni jawna. By stało się to możliwe, należy zrealizować kilka ważnych warunków wstępnych: na przykład powołać inny parlament, który określonych dziedzin życia publicznego nie będzie w sposób ewidentny samowolnie dyskryminować na korzyść swych „europejskich” plac, wynagradzających nieróbstwo, podczas gdy rzesze wyborców „wykorzystanych i porzuconych” przekopują kontenery na śmieci. Mamy nadzieję na coś więcej niż na zbieranie resztek po dopiero co zakończonej orgii. Te na-

dzieje wiążą się z zapowiedziami, że da się doprowadzić do tego, by orgie stały się kwestią prywatnego wyboru, nie mieściły się w budżetowym preliminarzu państwa.

Bojkotując Interliber' niezależni wydawcy narobili w mediach sporo szumu. Powody tej absencji na targach — wyższa niż we Frankfurcie opłata za stoisko — są zrozumiałe, czy jednak takie i podobne zachowanie ma jakiegokolwiek realny wpływ na ogólne polepszenie sytuacji drobnych wydawców?

— *Interliber* bojkotowaliśmy przede wszystkim z powodu zachowania organizatora, tj. Międzynarodowych Targów Zagrzebskich, wobec wydawców, zachowania, które, niestety, całkowicie pokrywa się z ogólnym stosunkiem władzy wobec książki. Niezadowolenie z warunków wystawiania książek i generalnej koncepcji *Interliberu* istnieje od momentu, gdy się narodziły te targi. Wpływowe stowarzyszenie *Hrvatski neovisni nakladnici* (Chorwaccy niezależni wydawcy) oceniło, że nie ma już najmniejszego sensu pozorowania idylli, i że tę farsę, jaką jest rzekoma troska o książkę należy w końcu przerwać. Oznacza to w istocie, że zdecydowaliśmy przynajmniej o tej części własnego losu, która nie zależy bezpośrednio od woli tępych urzędników państwowych: postanowiliśmy wziąć go we własne ręce i jako stowarzyszenie, a może nawet jako wielki Związek wydawców i księgarzy, zorganizować całkowicie nowe i odmienne targi.

Stwierdził Pan kiedyś, że surowa — negatywna krytyka Mandicia „sprzedała” Francuską suitę Sibillii Petlevski. Czy w tym wypadku „literacka sensacja” jeszcze raz zastąpiła działania marketingowe?

— Nie widzę tu żadnej sensacji. Chodzi po prostu o fakt istnienia krytyki lub jej brak.

Faktem jest, że wpływowe media — dzienniki, tygodniki, radio i telewizja — dziś praktycznie nie prezentują krytyki literackiej, a to, co bywa przedstawiane jako teksty o książkach, najczęściej nie ma żadnego związku z krytyką. Teksty krytycznoliterackie, jak ten *Mandicia*, nawet jeśli mówią o książce jako propozycji całkowicie chybotnej, wzbudzają zainteresowanie potencjalnych czytelników swym stanowiskiem, co dla książki może być tylko korzystne. /.../

Sądzę, że bardzo mało tytułów staje się rzeczywistym wydarzeniem literackim. Przy wszystkich mechanizmach wyłaniania jednego tytułu z bezosobowej masy innych w danym sezonie: nagrodach, promocji medialnej itd. „wypływają” i zwracają uwagę jedynie dwa — trzy. Jak by Pan to skomentował?

— Wydaje mi się, że w Chorwacji od dawna już żadna książka nie była wydarzeniem, literackim czy też innym, w każdym razie przedmiotem zainteresowania szerszej opinii publicznej. Książki, o których Pan wspominał nie były w jakiś szczególny sposób promowane przez media, a jednak w pewnym sensie „narzuciły” się publiczności czytelniczej. Autor, z którym wywiadu nie opublikowałyby wszystkie czasopisma, z którym i o którym nie mówiliby się we wszystkich programach kulturalnych w radio i telewizji, niemal nie istnieje, a to jest dla książki zgubne. Media są dziś niemal głuche na wszystko co wykracza poza granice najbardziej brudnej polityki, nic więc dziwnego, że życie publiczne jest takie powierzchowne i nudne. /.../ Dziennikarstwo „szybkie”, gdzie opinię publiczną kształtują ludzie, którzy piszą, ale którzy nigdy nie czytali, jest zabójcze.

Nie wydaje się Panu, że wydawcy, dla których jednak celem podstawowym jest sprzedaż książki poprzez swą inercję i stare przyzwyczajenia zbyt mało uwagi przywiązują do naturalnego odruchu potencjalnego nabywcy, jakim jest kupowanie wszystkiego, co otoczone jest klimatem sensacji, co uchodzi za niezwykle wydarzenie bądź jest chwytliwą nowinką? A może nabywcy książek zostali definitywnie „zdziśiatkowani” i w zasadzie jakikolwiek wysiłek zachęcający ich do kupna staje się bezprzedmiotowy?

— No cóż, książek nie kupuje się właściwie w ogóle. Myślę, że to nie ma żadnego związku z próbą przypodobania się gustom czytelników; najpierw taka publiczność czytelnicza musiałaby istnieć. Nie mam tu oczywiście, na myśli jakiejś setki naszych „znawców”, którzy wytrwale odwiedzają księgarnie i zainteresowani są każdym nowym tytułem. To są nieliczni, to nie jest publiczność czytelnicza. Jeśli jako sensację traktuje Pan książki typu *Wychowanie dziewcząt w Czechach*, czeskiego autora Viewegha, to raczej odzwierciedla to sytuację, o której już wspominałem mówiąc o mediach. Chodzi tu o słabą, nie stawiającą większych wymagań, trochę pozerską książeczkę, niemal idealnie pasującą do schematu ubogiego snobizmu naszych wysokonakładowych czasopism dla kobiet i nastolatków. Dla mediów „odbiorcą” jest młody, kędzierzawy chłopaczek w okragłych okularach, odpowiadający „typowi” młodego, żadnego wiedzy intelektualisty z podręcznika „siedemnaście sposobów na zdobycie jego przychylności” lub „pięć cech idealnego kochanka”. Chcę przez to powiedzieć, że jedynie uwaga mediów niezależnych od nacisku grup interesu, może jakościowo przesądzić o poważniejszym zainteresowaniu książkami. W Chorwacji wydano mnóstwo książek ciekawych i lepszych od książki Viewegha, ale nie napisano o nich ani słowa.

Czy nie brak w naszej kulturze rodzimej wybitnej osobowości literackiej? Czy można mówić o deficycie autorów kultu-

CIĄG DALSZY NA STR. 4

Pozorowanie idylli nie ma sensu

CIĄG DALSZY ZE STR. 3
wych – czy też nie należy w ogóle tak patrzeć na sprawę?

– Pisarze chorwaccy stają się znani opinii publicznej wyłącznie w kontekście intryg politycznych, a nie jako autorzy swoich książek. Publiczne oblicze pisarza chorwackiego dziś nie istnieje. Opinia publiczna kreuje wizerunek pisarza chorwackiego przede wszystkim na wzór jakichś mrocznych kreatur, które nie-żle odnalazły się w aktualnej politycznej rzeczywistości. Jeśli zatem w opinii publicznej pisarz nie „zaistnieje”, jeśli nie mówi się i nie pisze o jego książkach, wówczas literatura powstaje w całkowicie jałowej atmosferze, a to oznacza, że już w bliskiej perspektywie nie będziemy mieć literatury w ogóle.

...

Biorąc pod uwagę, że w zasadzie nie wydajecie „dochodowych” książek, jak na przykład „Algoritam”², czy przynajmniej sprawia Panu przyjemność swoista „misja” wydawania autorów, których uważa Pan za wartościowych, a także tych, którzy się dopiero pojawiają, tzn. nieznanych poetów i prozaików (takie chyba były Pańskie preferencje jeszcze w czasach gdy wychodziło Quorum)?

– Ja, niestety, nie wiem czy „dochodowe” są książki, które się sprzedają, czy też te, które się nie sprzedają w ogóle. Faktem jest, że skromne nakłady niektórych swoich książek udało mi się sprzedać nawet jeśli były to wznowienia, ale nie zarobiłem na nich jeszcze ani grosza, ponieważ pieniądze nigdy nie wpłynęły na konto. Tak więc, nawet to, co stanowi potencjalnie opłacalną pracę, ostatecznie okazuje się całkowicie chybione, wszystkie bowiem mechanizmy w tym kraju – poza płaceniem podatków – nie funkcjonują w ogóle. Za sprawą brutalnej polityki podatkowej stworzono sytuację, w której wszyscy wobec

wszystkich mają jakieś długi, wszyscy są jakoś wobec siebie winni, a to znaczy, że zostali dotkliwie zranieni i że bardzo łatwo można ich kontrolować, a w razie potrzeby nawet szantażować.

W oparciu o jakie kryteria przeprowadziłby Pan ewentualną krytykę rodzimej krytyki literackiej?

– Krytyka krytyki zakłada przede wszystkim istnienie tej pierwszej. Skoro zaś, jak stwierdziłem, krytyka praktycznie nie istnieje, jeśli nie liczyć kilku osób, które zajmują się nią 20 czy 30 lat – jak Mrkonjić, Marović, Milanja, Donat, Visković czy Mandić, nie mogę mówić o niej krytycznie. Dawniej, gdy byłem znacznie młodszy, zwykle negatywnie wypowiadałem się, na przykład o krytycznej koncepcji Mandicia. Teraz, niestety, jestem całkowicie świadom tego, że wymienione przeze mnie osoby, to właściwie ostatnia generacja krytyków wielkiego formatu, z którymi w niczym nie muszę się zgadzać, ale których powinienem cenić za energię włożoną w systematyczne krytyczne odczytywanie literatury współczesnej, co nie jest bynajmniej łatwą pracą. Tym bardziej, że generacje, które przyszedł po nich, nie wyłoniły krytyków ich formatu. Co więcej, dziś wydaje się, że w ogóle ich mieć nie będziemy. A nowym pisarzom muszą towarzyszyć nowi krytycy, osoby, które będą w stanie rozpoznać nową wrażliwość i ewentualne zmiany literackiej optyki w utworach nowych pisarzy. Właśnie ze względu na tę lukę pokoleniową śmiem twierdzić, że literatura współczesna, literatura dzisiejsza, (mam tu na uwadze utwory powstałe w ostatnich 10-15 latach), nie została krytycznie, a zatem właściwie w ogóle, przeczytana. I że właśnie z powodu braku krytycznej korekty znacznie zmniejszono możliwości jej rozwoju. W ostatnich latach jesteśmy świadkami zjawiska swoistej „infla-

cji” nowych książek i nowych autorów, a jednocześnie nie mamy modelowych wzorców osobowości literackich, nawet wśród pisarzy, którzy wydali dziesiątki pozycji. I właściwie nie mamy literatury na poziomie zjawiska społecznego, a więc czegoś, co byłoby akceptowane przez szersze kręgi, nie tylko przez wąskie grono ludzi, dla których zajmowanie się literaturą stanowi rodzaj pracy. Za każdym razem robi mi się trochę smutno, gdy widzę teksty dwudziestolatków na temat książek ich profesorów, wymierzone wyłącznie w jeden cel: katedrę na Wydziale Filologicznym /.../. Ten brak sprzeciwu wobec degrengolady, ten rozpaczliwy marsz w kierunku upragnionego bezpieczeństwa, ten żalony niewolniczy krzyk w obronie czegoś, w co się nie wierzy, ale co na krótką metę się opłaca, nie daje szans żadnej formie uprawiania literatury na naszym ścieśnionym obszarze. Ja dzięki swej małej księgarni, niestety, stosunkowo dobrze orientuję się, co czytają dzisiaj, jeśli w ogóle czytają, młodzi twórcy, czyli ludzie, których ambicją jest uprawianie literatury lub pisanie o niej. To prawie nigdy nie są książki ich kolegów, autorów z bliskiego pokoleniowego kręgu. Nie wykazują nawet najzwyczajniejszej ciekawości, na zasadzie: zobaczmy co też ten chłopak napisał.

...

Czy krytyka uprawiana na łamach gazet (a także w radio) jest tym właściwym adresem, pod który należy kierować zarzuty? Czy nie chodzi tu o wszechmocną telewizję? W jaki sposób, Pana zdaniem, krytyka literacka (czy w ogóle literacka promocja) powinna oddziaływać „telewizyjnie”? Zakładam, że nie jest Pan zadowolony z dzisiejszych programów poświęconych tym zagadnieniom.

– Wszystko, o czym mówiłem dotychczas, nie odnosiło się do krytyki w czasopiśmie-

literackich, gdyż jest ona siłą rzeczy skierowana do wyspecjalizowanego, potencjalnie zainteresowanego grona odbiorców. Ten rodzaj krytyki, generalnie rzecz ujmując, jakoś się trzyma, ponieważ paradoksalnie rzecz biorąc, „zamknięcie w getcie” jej sprzyja. To nie jest krytyka, która by cokolwiek w recepcji literatury mogła i chciała zmienić. Jest ona skierowana wyłącznie do czytelników-profesjonalistów. Kiedy zaś mowa o wszechmocnych mediach elektronicznych, jak telewizja, nieobecność krytyki w obserwacjach dotyczących literatury świadczy, niestety, o całkowitej ignorancji wobec przejawów aktualnej praktyki literackiej, gdyż na temat literatury można dyskutować w sposób znacznie ciekawszy niż o oralnej akrobatyce Clintona. To, jednak, wymagałoby dodatkowego wysiłku ze strony redaktorów, którzy musieliby przygotowywać się do swoich programów – oprócz przeczytania utworów, o których byłaby mowa, musieliby dowiedzieć się czegoś na temat literatury sekundarnej, ale także przestudiować zawodowe życiorysy swych gości (które w przeciwieństwie do akt policyjnych najczęściej nie istnieją), a tego jednak w sytuacji, gdy „ojczyzna stanowi trudny problem”, nie możemy od nich oczekiwać.

Czy do przeprowadzenia w telewizji rzetelnej, mądrej rozmowy o książce brakuje odpowiednich instytucji? Pieniędzy? Ludzi?

– Pytanie o stosunek do książki generalnie jest także pytaniem o pieniądze, przede wszystkim o dystrybucję istniejących pieniędzy, a to jest jednak związane z problemem istnienia polityki kulturalnej i strategii rozwoju kultury, co w naszym przypadku oznacza najczęściej puste frazesy. Jeśli kultura zdoła wyrazić swe priorytety i zmusić swe instytucje do ich realizacji, wówczas jej projektów nie będą mogły ignorować nawet wysokonakładowe czy elektroniczne media. To, że sytuacja jest znacznie gorsza niż podają to źródła zagraniczne, w dużej mierze wskazuje na brak pieniędzy, ale także na zupełną inercję ludzi, którzy powinni to zmienić, co w takim samym stopniu dotyczy pisarzy, krytyków, wydawców, jak też instytucji takich jak Akademia (Nauk), Matica (Macierz chorwacka) czy też różnych związków zawodowych /.../

Krytycznoliteracki (jak też każdy krytyczny) tekst, niemal bez wyjątków, rodzi nienawiść. Czy w ostatnim czasie uprawiał Pan w ogóle krytykę literacką?

– No cóż, nie paralem się krytyką, od kiedy poważniej zająłem się pracą redaktorską. Wydaje mi się, że tych dwóch rzeczy człowiek nie może wykonywać jednocześnie. Redaktor musi znaleźć jakieś powody przemawiające za książką, krytyk zaś bada jej wydźwięk w szerszym kontekście literackim. Krytyk może jedynie przeszkadzać redaktorowi, jest bowiem jego przeciwnikiem i cenzorem. Dlatego spróbowałem dosłownie uciec od siebie jako krytyka. Jednak, jako redaktor również muszę stykać się z przejawami autorskiej próżności i urażonym ego, zarówno totalnych dyletantów, jak i dobrych pisarzy, tyle że w „złej formie”. Każdemu, kto myśli, że praca redaktora jest łatwa, chętnie odstąpię swoje miejsce w pobliskiej knajpce. Jak powiedzieć komuś, że, niestety, nie ma uzasadnionych powodów, by wydać jego książkę... Zresztą, może jestem tylko słabym i zbyt wrażliwym człowiekiem, który wybrał złą pracę. /.../

„Vijenac”, nr 127/VI (3.12.1998)

Przełożyła Dorota Gil

CHORWACJA, 1999

Fotografia Grażyna Borowik



¹ Targi Książki funkcjonujące w ramach targów multimedialnych organizowanych corocznie przez Międzynarodowe Targi Zagrzebskie. Od dwóch lat bojkotowane przez niezależnych wydawców.

² ALGORITAM – nazwa wydawnictwa (a także książki) o komercyjnym głównie nastawieniu, wydające go przede wszystkim literaturę amerykańską.

Drago Jančar *Niedziela w Oberheim*

DRAGO JANČAR, ur. 1948, słoweński prozaik, dramatopisarz i eseista.

Od 1981 r. jest redaktorem i sekretarzem wydawnictwa Slovenskiej matici w Lublanie. W latach 1987-91 był prezesem słoweńskiego PEN Clubu. W 1993 został laureatem najwyższego słoweńskiego odznaczenia w dziedzinie kultury, Nagrody im. France Prešerna. W swoim dorobku ma 5 powieści, z których największe uznanie przyniósł mu *Galjo* (1978, Galernik), przetłumaczony na 11 języków, także *Severni sij* (1984, Zorza polarna) i *Zvenje v glavi* (1998, Dźwięczenie w głowie), 6 tomów opowiadań, w tym *Smrt pri Manji Snežni* (1985, Śmierć koło Matki Boskiej Śnieżnej), *Pogled angela* (1992, Spojrzenia anioła) i *Priказen iz Rovenske* (1998, Upiór z Rovenskiej), kilku tomów esejów, np. *Razbiti vrč* (1992, Rozbity dzban), *Egiptovski lonci mesa* (1995, Egipskie garnce mięsa) i kilka dramatów, m.in. *Disident Arnož in njegovi* (1982, Dysydent Arnoż i jego ludzie), *Veliki briljantni valček* (1985, Grande valse brillante), które wystawiano m.in. w byłej Jugosławii, na Węgrzech, w Stanach Zjednoczonych i w Austrii. W Polsce dotychczas ukazały się w wydaniu książkowym 2 powieści: *Galernik* (1988) i *Drwiące żądze* (1997) oraz 2 wybory esejów: *Terra Incognita* (1993) i *Eseje* (1999), ponadto liczne opowiadania i eseje były publikowane

Nawet nie niedziela, tylko niedzielne przedpołudnie. Trzy sceny, tysiąc słów. I niezbędna sceneria melancholijnej środkowoeuropejskiej prowincji. Skwer nad Dunajem, rzeka w ostatnich dniach nieco wezbrała, smukłe kadłuby statków rozgarniają spienioną brązową wodę, płyną same albo z holownikami, pod prąd, szybko, niemal bezgłośnie suną w dół rzeki. Wiatr porusza konarami topoli, grona białych akcji kołyszą się na wietrze, gdzieś w górnym biegu rzeki pada, tutaj rozproszone, mgliste światło przedziera się przez warstwę chmur. Po kamiennym bruku koziółkują dźwięki organów z kościoła św. Egidiusza, odbijają się echem od murów kamienic, potężne dźwięki wirują wokół gotyckiej budowli. Jest pusto, wszyscy są w kościele.

Przed opuszczonym browarem po drugiej stronie wąskiej ulicy, na której mieszkam, zatrzymuje się kilka samochodów. Nie wiem, dlaczego nigdy nie zwróciłem na to uwagi – zawsze zatrzymują się w tym miejscu; jacyś mężczyźni z eleganckimi walizkami przeznaczonymi na broń wychodzą z samochodów i znikają za szerokimi drzwiami, które muszą prowadzić do piwnicy albo do magazynu. Tędy przetaczano niegdyś beczki z piwem i ładowano je na wozy. Wieża browaru góruje nad dachami domów; okna wychodzą na Dunaj, chciałbym być na jej szczycie, patrzyłbym teraz w tamtą stronę, gdzie zasłona deszczu z niskich chmur spuszcza się nad wodę w górnym biegu rzeki. Pod wieżą mniejszy, tak samo opuszczony budynek.

– To była lodownia – wyjaśnia Fastl.

Fastl nie poszedł na mszę, nigdy nie chodzi do kościoła. Nie chce, żeby mówiono do niego „wy”, ani „pan”, tylko „ty, Fastl”. Pracował na kolei, teraz ma stoisko z kielbaskami koło małego budynku dworca kolejowego. Kielbaski podgrzewa i sprzedaje Jadranka z Banja Luki. W każdą niedzielę, gdy interes jest zamknięty, Fastl chodzi pod Czarnego Orła na piwo. Tam spotyka się z tymi kilkoma innymi, którzy też nie chodzą do kościoła.

– Ładowali łód razem z piwem – wyjaśnia.

– A co jest w browarze?

– Nic. Tylko tu, przed drzwiami, w czterdziestym piątym zgineło trzech ludzi, od amerykańskiego granatu.

Przed browarem znów zatrzymuje się samochód, barczysty mężczyzna dzwoni do drzwi, czeka, znika we wnętrzu.

– Dokąd wchodzi ludzie?

– Do piwnicy.

– Ty Fastl, powiedziałeś przecież, że w starym browarze nic nie ma.

– Za to jest w piwnicy.

W małych brązowych oczach pojawiają się kpiące błyski. Pyta, czy chciałbym zobaczyć, co jest w piwnicy.

Pewnie.

– To chodź – mówi.

Przechodzimy więc przez ulicę, Fastl dzwoni, w domofonie rozlega się męski głos, mężczyzna rozmawia z Fastlem w dialekcie, którego nie rozumiem. Drzwi się otwierają, jesteśmy na podeście kamiennych schodków prowadzących w dół. Od razu czuję woń siarki, czegoś przypalonego, wydaje mi się, że słyszę jakieś trzaski, są dość głośne, jakby ktoś łamał potężne gałęzie. Fastl stąpa ostrożnie, jest tylko emerytem, oświetla nas żółtawy blask piwnicznych lamp. Na dole są kolejne drzwi, mój przewodnik dzwoni, otwierają się od razu. Niewielkie pomieszczenie, przy stole siedzi krótko ostrzyżony mężczyzna, czyta gazetę. Kiwa głową, możemy iść dalej, korytarz skręca, nagle wchodzimy do większej, lepiej oświetlonej sali. Jest tu pełno barczystych, krótko ostrzyżonych ludzi, większość w kamizelkach, z podwiniętymi rękawami. Na stołach leżą otwarte eleganckie walizki, w nich starannie poukładane rewolwery różnego kalibru, razem z przyborami do czyszczenia.

Schutzverein, mówi Fastl, związek strzelecki. Pod ścianami broń większego kalibru, karabiny, karabinki, winczestery, kilka karabinów automatycznych. Trzaski są teraz głośniejsze, woń siarki jeszcze przenikliwsza niż na górze. Nad głowami unosi się szaroniebieskawy obłok, gęstnieje pod wysokim sklepieniem piwnicy, okien nie ma wcale. Mężczyźni wychodzą przez grube, obite ołowianymi płytami drzwi i z powagą na twarzach

wracają. Swoją broń przekładają z ręki do ręki, jak małe zwierzęta, ostrożnie i lekko, wywiczonymi ruchami. Fastl rozmawia z barczystym, który dopiero co się pojawił, przybysz kiwa głową. Z barku, gdzie stoi gąszcz kufli do piwa, wyciąga słuchawki i wciska nam je do rąk. Wchodzimy przez drzwi, którymi – za każdym razem, gdy tylko ktoś je otwiera – wdiera się obłok dymu.

W chwili, gdy wchodzimy, słychać straszliwy huk. Młody mężczyzna trzyma w ręku coś w rodzaju pistoletu, może browning albo luger, w każdym razie coś dużego. Zakładamy słuchawki, w oczach Fastla widać błysk: teraz widzisz, co tu jest? Widzę, ty Fastl. Dwóch mężczyzn strzela do tarcz z mniejszych pistoletów, chłopak wali do plansz w kształcie ludzkich sylwetek, jedne są trochę bliżej, inne nieco dalej. Wstają i padają, uciekają bojaźliwie, kryją się i pojawiają w drugim końcu sali. Ale kule z gromkiej broni znajdują je również tam. Ściany wyłożono grubą warstwą gumy. Strzelec ma zadowoloną minę, choć nic nie mówi, bez słowa odstepuje miejsce następnemu, ten swoją broń o długiej lufie opiera na łokciu lewej ręki, mierzy i strzela. Fastl pokazuje mi, że trafia każdą sylwetkę prosto w głowę, prosto w czoło.

I znów jesteśmy w pierwszej sali podziemia, barczysty hipopotam proponuje piwo, krótko ostrzyżony pyta w dialekcie, przez Fastla, czy chciałbym postrzelać. Odpowiadam, że nie. Ostrzyżony stwierdza, że nie jestem Hemingwayem, przytakuję, ma rację. Barczysty pyta, czy chciałbym napić się piwa, mówię, że nie, dziękuję. Fastl dodaje, że idzie na piwo pod Czarnego Orła, jak w każdą niedzielę. Po chwili barczysty i ostrzyżony pograżają się w rozmowie o urządzeniach w sali fitness klubu, a ja i Fastl, oświetleni żółtawym blaskiem lamp, wspina się na górę po schodach. Smuga szaroniebieskawego dymu ciągnie się za nami, trzaski, jakby ktoś łamał w piwnicy gałęzie, są coraz odleglejsze. Cały czas cuchnie siarką.

Na dworze jest niedzielne przedpołudnie, wokół opuszczonej piekarni panuje cisza. Wiatr porusza koronami topoli, gdzieś w górnym biegu rzeki pada, tutaj rozproszone światło przenika przez warstwę chmur. Wieża browaru góruje nad dachami domów. Chciałbym być tam w górze, na samym szczycie, patrzyłbym na zasłonę deszczu z niskich chmur spuszczałą się nad powierzchnię wody. Pytam, co jest w wieży browaru, Fastl mówi, że nic, czy chciałbym zobaczyć? Nie. Ulica jest bardzo spokojna. Nigdzie żadnego napisu, który by informował, że tu się strzela, powiadam. Lentia, odzywa się po chwili Fastl, związek strzelecki Lentia. Fastl wzrusza ramionami; po chwili przez podwórko i ogrody z salata ciągnące się głównym placem wędruje pod Czarnego Orła na piwo.

Główny plac jest nadal pusty, do organów z kościoła św. Egidiusza przylacza się potężny chór, jego szerokie jak Dunaj, powolne *Te Deum* płynie przez plac, płynie wokół kościoła, płynie i płynie, kłębi się i wreszcie znajduje ujście tuż przy ziemi, na bruku placu, na bruku ulicy. A jednocześnie płynie górą nad dachami Oberheim, ku brązowej powierzchni wody. Schodzę i ja razem z tym strumieniem dźwięków do miejsca, gdzie w górę rzeki szybko płynie z prądem statek pasażerski o nazwie „Theodor Fontane”. Jakiś człowiek stoi przy poręczy, przez lornetkę obserwuje fasady domów, topole, akacje, z których zwisają grona białych kwiatów.

Na ławce w parku nad rzeką siedzi dziewczyna w dżinsach, ramiona jej drżą, płacze. Jest wiosna, dziewczyny w Oberheim płaczą. Obok niej stoi chłopak z rękami w kieszeniach skórzanego kurtki i coś do niej mówi. Nie widzą mnie, choć przechodzę bardzo blisko.

A potem siedzę sobie w pokoju i patrzę na brązowe fale wędrujące do morza, Morza Czarnego. Ściemnia się, chmury są coraz bliżej, pod oknem ktoś gwizdza, światło nie jest już rozproszone i mgliste, tylko troszkę zamglone, po chwili znika.

Radio informuje o korkach na wszystkich drogach, są Zielone Świątki, nie powinniśmy wybierać się w podróż, o ile naprawdę nie jest to konieczne. Piszę tych tysiąc słów, a może trochę więcej.

Przełożyła Joanna Pomorska



Milutin Petrović

MILUTIN PETROVIĆ (1941) – serbski poeta średniej generacji. Debiutował w 1968 roku, wydał do tej pory 13 książek. Prezentowane wiersze pochodzą z ostatniego tomu pt. *Na opako* (Na odwrot, 1977).

Ziarno granatu

Nie to co widać.

Te inne kolorowe znaki na ciałach.

tylko to co pożądlwie połyka kamera;

i daleki rozpalony policzek sąsiada;

który przyjmuje pocałunek zgody?

Książka

ta druga w strzępach uleciała
trafiona już wcześniej;
ta czarna flaga.

Kto tu kupuje

Czemu kupuje tę
figurę? Czemu kupuje

jeszcze jakąś? I gdzie
jest kres tego kupowania?

Kto wie

Padają? Czy
się podnoszą? Wszystko
zależy od umowy.

Sieć przyjmuje eleuzyński żywot;
zapakowany, ale bez stempla.

Wzywałaś mnie,
Olimpiado?

Przełożył Julian Kornhauser

Ivan Čolović Świąci wojownicy

SUPERHRVOJE I KNINDJUTSUA SAVA

W niektórych wytworach współczesnego folklorystyki wojenno-propagandowego Serbów i Chorwatów dostrzegamy ogromny wpływ takich form „nowej gnozy”, z których obficie czerpią rozliczne gatunki kultury masowej. Jest to wpływ filmów i powieści fantastyczno-naukowych, komiksów, filmów i opowieści poświęconych orientalnie-magicznym sztukom walki, a także – wpływ bioenergetycznych i astrologicznych kolumn z popularnych czasopism. Przejawia się on między innymi w sposobach konstruowania fabuł, opiewających bohaterów, którzy są obdarzeni nadprzyrodzoną mocą, którzy zdolni są kontrolować i ukierunkowywać energię przyrody lub zbiorowości, którzy potrafią przekształcać własną energię mentalną w niewyobrażalną siłę fizyczną.

Komiks *Superhrvoje* (wydanie pisma „Slobodna Dalmacija”, czerwiec 1992) jest opowieścią o tym, jak to nawet skaliasta dalmatyńska ziemia powstała przeciwko „czetnikom”, unicestwiając kamiennymi pociskami ich pancerną brygadę. Bohater owego komiksu, piękny i wykształcony Superhrvoje – żyjący wprawdzie w Niemczech, w czułej miłosnej harmonii z uroczą Hildą, lecz „w wolnych chwilach nie zaniedbujący studiów nad dziejami Chorwatów” – otrzymuje tajemnicze wezwanie, nakazujące mu przybyć do krainy zwanej Dalmatyńską Zagorą, do miejscowości, w której dokonała się owa rzeczona, nadprzyrodzona insurekcja chorwackich kamieni przeciwko serbskim czetnikom.

Miejscowość zwie się Święta Ziemia i – jak wieść gminna głosi – od wieków znana jest z tego, że „rozegrała się tu wielka bitwa z Turkami”. O bitwie tej nie dowiadujemy się jednak nic więcej, a to najpewniej z tej przyczyny, że trudno byłoby poza ramy jej obrazu usunąć niegdysiejszy sojusz dawnych Chorwatów z antenatami dzisiejszych „czetników”. Prawdziwych źródeł ukamienowania czetnickich czołgów powinniśmy się jednak doszukiwać w jeszcze bardziej odległej chorwackiej przeszłości: w „najwspanialszej chorwackiej legendzie”, której treść objawia Superhrvojowi Stróż Tajemni-

cy Kamienia – postać uderzająco podobna do mądrego starca Jodi, odkrywającego przed głównym bohaterem *Gwiezdnych wojen* George’a Lucasa tajemnicę zawładnięcia kosmiczną energią – Mocą. Ów akt wtajemniczenia zapowiadają: „chorwacka plecionka” (narodowy symbol Chorwatów – MDP), w której wzór układają się glazy skalnego urwiska, oraz „nieodparte telepatyczne wezwanie z głębin kamienia”, bezpośrednio docierające do świadomości Superhrvoja.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Superhrvoje narodził się drogą kompilacji motywów zaczerpniętych z popularnego komiksu o Supermanie oraz ze znanego epizodu niemniej popularnych *Gwiezdnych wojen*, czyli – jest dzieckiem dwu wytworów współczesnej kultury masowej, opowiadających o sprawach globalnych i kosmicznych, o istotach pozaziemskich i ludziach, o konflikcie dobra i zła trwającym we wszechświecie. W komiksie o legendarnym Człowieku Kamienia, rodem z Dalmatyńskiej Zagory, motywy te zostały sprowadzone do wymiarów nacjonalistycznej, patriotyczno-wojennej opowieści, w której uosobieniem sił dobra są chorwaccy patrioci oraz ich europejscy sprzymierzeńcy („przedstawiciele sił pokojowych”); siły zła dalekie są natomiast od jakiegokolwiek egzotyki – gadają, brachu, po serbsku, normalnie – po ekawsku, a także odznaczają się pewnym nader charakterystycznym obyczajem, jeszcze dobitniej zdradzającym ich etniczną przynależność: przy każdej mianowicie okazji wykrzykują rozgłosnie: „a chuj ci w dupę!”.

Nieodczynnym następstwem egzystencji super-Chorwatów jest naturalnie pojawienie się super-Serbów.

W rozlicznych komiksach, a także w pewnej zeszytowej powieści (*Najazd demonów*, wydawnictwo pisma „Politika”, 1991), poświęconych „Knindjom” (obrońcom Kninu, stolicy efemerycznej „serbskiej republiki” w Chorwacji, sprawnym i bohaterskim jak komiksowe żółwie Ninja – MDP) oraz ich niezwykłym wyczy-

Jeździec chorwacki z okresu wojny trzydziestoletniej.

BILDER-ATLAS. Einographische Enzyklopädie der Wissenschaften und Künste. Kriegswesen. Lipsk, F.A. Brockhaus.



IVAN ČOLOVIĆ, ur. w roku 1938 w Belgradzie, jest serbskim etnologiem i badaczem kultury masowej, autorem sześciu książek i wielu artykułów, analizujących jugosłowiańską i serbską współczesność. Tekst *Świąci wojownicy*, którego fragmenty przedstawiamy, pochodzi z książki *Burda wojowników*, opublikowanej w Belgradzie w 1994 roku (wyd. II), w ramach *Biblioteki XX wiek*, stworzonej przez Čolovića w 1971 roku, a wydawanej i redagowanej przez niego do chwili obecnej.



CHORWACJA, 1998.

Fotografia Grażyna Borowik

nom, współcześni serbscy bohaterowie wojenni noszą imiona zaczerpnięte z rodzimego folkloru (Sawa, Radojica, Milica, Grujica, nawet – Starina Novak). Zostają w nich przedstawieni jako spadkobiercy wielowiekowej tradycji serbskich walk o wolność, prawdziwie przywiązani do świętosawia – narodowego prawosławia serbskiego, a także do systemu wartości określających patriarchalny model życia. Zarazem jednak posiadają wszelkie cechy komiksowych supermenów: mafijne doświadczenie zdobyte w europejskim podziemiu kryminalnym, umiejętność władania bronią najnowszej typu, opanowanie wszelkich arkanów wschodnich sztuk walki, doskonałą znajomość wielu obcych języków, zdolność przybierania dowolnej postaci w jakimkolwiek obcym kraju, a także łatwość nawiązywania kontaktu z najrozmaitszymi ludźmi.

Sawę, głównego bohatera powieści Miloša Krajišnika *Najazd demonów*, bardzo silne więzy łączą z tradycją japońskich sztuk walki. Na początku akcji zastajemy go zastygłego w pozycji „kwiatu lotosu” i pogrążonego w medytacji „po wykonaniu skomplikowanych ćwiczeń, które zgłębić potrafił jedynie ci, co przez lata całe studiowali sztukę walki”. Sawę wprowadził w jej arkana jego japoński mistrz, Shiki Minimoto. Od niego dowiedział się nasz bohater, co oznaczają słowa „dodjo” czy „tatami”, dzięki niemu zapoznał się z historią Japonii i przestudiował filozofię Zen. „Poznaj samego siebie i pokonaj wszystkie swoje słabości. Dopiero wówczas będziesz gotów stanąć do walki z każdym wrogiem – nauczał go na samym początku jego mistrz, a z czasem – coraz bardziej przyjaciel, Minimoto. Po roku dodał jeszcze jeden aksjomat: – staraj się zjednoczyć z naturą. Moc otacza cię ze wsząd. Musisz ją tylko odczuć, zjednoczyć się z nią; to będzie oznaczało, że odnalazłeś Drogę”. (str. 7-9)

Dzięki naukom „najdoskonalszego wojownika *ninjutsua*”, *Kninjutsua* Sawa posiada wysoce rozwinięte wycucie niebezpieczeństwa. Dzięki temu w błękitnych oczach jednego ze swych przeciwników na wielkim turnieju kung-fu, odbywającym się w Hong Kongu, „rozpoznaje odwieczną nienawiść; coś, co jedynie śmierć może wymazać”, czyli odkrywa w nim swego naturalnego, etnicznego wroga – Chorwata. Ów zaś nie potrafi, naturalnie, opanować swojej wściekłości, dzięki czemu Sawa zwycięża go bez trudu, aby następnie – w walce finałowej – spotkać się z jakimś japońskim olbrzymem. Ta walka jest już dla Sawy bardzo trudna, lecz w decydującym momencie przypomina on sobie radę swego mistrza: „Na siłę nie odpowiadaj siłą. Zanurz się w energii przeciwnika, wchłoń ową moc, którą ten promieniuje, rozluźnij się – a zwycięstwo będzie należało do ciebie!” (str. 14). I zwycięstwo, zaiste, staje się w tym pojedynku udziałem Sawy.

ŚWIĘTY SAWA I BOLANI DOJČIN
JAKO MISTRZOWIE SZTUKI WALKI

Idéal wojownika, w magiczny, szamański sposób jednoczącego się z energią wszechświata, kogoś, kto skupia w sobie i transponuje w pożądanym kierunku siłę własnego ducha, zjednoczoną z potęgą natury, został zaprezentowany w książce Predraga Miloševića *Świąci wojownicy*. Jest to nader swoista, pseudonaukowa interpretacja archaicznego motywu bohatera obdarzonego nadprzyrodzonymi zdolnościami, którego dziś spotykamy w paraliterackich i pseudoreligijnych pieśniach i

opowieściach. Książkę tę można odczytać także i jako specyficzną polemikę ze współczesną tendencją do tego, aby kwestię panowania nad energią ducha i ciała ujmować li tylko w horyzoncie doświadczeń Orientu, zaniedbując tym samym tradycję europejską, a zwłaszcza – serbską. Możemy więc w *Świętych wojownikach* odnaleźć patriotycznie umotywowaną krytykę powieści *Najazd demonów*, której bohaterowi najwidoczniej nieznane są tradycje sztuki walki stworzone przez jego własny naród, o wiele znamienitsze od japońskich, podziwianych przezeń bez żadnego umiaru.

Serbskie sztuki walki – jeśli wierzyć Predragowi Miloševićowi – zawierają bowiem w sobie nie tylko wszelkie zalety obcych (orientalnych i zachodnioeuropejskich) tradycji, ale i coś niezmiennie istotniejszego: umiłowanie człowieka. Bojowe obyczaje dawnych Serbów są, jak powiada, „lepsze od japońskich, koreańskich i wszelkich innych, ponieważ zostały poddane próbie wielu stuleci, aby odnieść zwycięstwo właśnie w konfrontacji z systemami azjatyckimi”. (str. 7) Oznajmiając powyższe prawdy, autor *Świętych wojowników* staje w obronie Europy i białej rasy przed inwazją wschodnich sztuk walki, ponieważ „za ich pośrednictwem dokonuje się podbój Europy i świata przez azjatycką filozofię, religię i ekonomię”. (str. 8). Ale na tym jego solidarność z Europą się kończy, bowiem Milošević, jako konsekwentny ultranacjonalista, przeciwstawia jej Serbów – jedyny naród, który w swej sztuce walki kultywuje najwyższe wartości humanistyczne; którego wojownicy, dotrzymując pola okrutnym zdobywcom, nigdy jednak nie zapominają o swojej tradycyjnej rycerskości: „Agresorzy zaś nacierali bez żadnego powodu, nie sprowokowani niczym, mordowali, palili, wieszali starców, zarzynali dzieci, gwałcili kobiety; i wszyscy postępowali dokładnie tak samo: zarówno ci z »cywilizowanej Europy«, jak i ci z półdzikiej Azji. A serbski wojownik nie wieszał starców, nie podpalał domów, nie mordował dzieci, nie gwałcił. Nawet, gdy jego świadomość przyćmiewało pragnienie słusznej zemsty na wrogu, znajdował w sobie siłę, która wzniosłym posiewem dobroci powstrzymywała jego miecz; która wzbraniała mu złem za zło odpłacać”. (str. 9)

Gdyby autor *Demonów* wziął pod uwagę wyniki owych badań nad spuścizną świętych serbskich wojowników, to jego bohater Sawa, z pewnością odnalazłby swego mistrza nie w Japonii, lecz we własnym kraju. Nade wszystko zaś mógłby się bardzo wiele nauczyć od swego imiennika Świętego Sawy, co do którego Predrag Milošević ustalił, że był on „twórcą serbskiej sztuki i filozofii walki” (str. 43). Jako argument na rzecz swojego odkrycia Milošević przytacza fragment z *Typikonu Hilendarskiego*, autorstwa Świętego Sawy, w którym zaleca on mnichom, aby „walczyli”, „przymusili się nieco”, nie porzucili bowiem świata „dla spoczynku i rozkoszy”, zaś „Królestwo Niebieskie siłą się dobywa”. Napomnienie, że nikt „nieprzyjaciela swego wysypiając się i rojenia snując nie zwyciężył”, że trofea i wieńce zwycięzców ci zdobywają, „co biegną wytrwale, trudzą się i walczą, ciężary owej walki ponosząc” – wszystkie te wskazania świętego, stanowiące symboliczny obraz wysiłku i trudu, na który zdobyć się winien dobry chrześcijanin, aby w Królestwie Niebieskim dostąpić zbawienia – autor nasz interpretuje jako zalecenie dla mnichów, aby przygotowując się do walki zbrojnej niezmiennie poprzedzali ją modlitwą do Wszechmogącego, która to modlitwa będzie dla nich ręką wojenną szczęścia.

„To przesłanie Świętego – powiada Predrag Milošević – jest tym ważniejsze, że Sawa nie tylko nie zabrania mnichom udziału w walce, ale wręcz go od nich wymaga”. W mniemaniu naszego autora przekonanie o tym, że „królestwo ziemskie” trzeba bez walki oddać wrogowi, ktoś „jak się wydaje szalbierczo wmówił Serbom, aby owym szatańskim podstępem zabić w nich bojowego ducha”. (s. 45)

Aby uczynić ze Świętego Sawy pierwszego serbskiego świętego wojownika, pierwszego z mistrzów serbskiej sztuki walki, Predrag Milošević, podczas swojej lektury cytowanego tekstu, zmuszony był całkowicie pominąć rzeczywisty, alegoryczny sens obrazów walki, stanowiących podstawowy element symboliki zbawienia, wspólnej całemu chrześcijaństwu. Ponadto, musiał też zignorować informację o tym, że Sawa jedynie przetłumaczył *Typikon Hilendarski*, z którego zaczerpnięte zostały powyższe cytaty, a którego rzeczywistym autorem był Grek Tymoteusz, igumen Evergetydzkiego monasteru w Carogrodzie. I wreszcie – jego fizykalno-patriotyczny styl rozumowania ostatecznie zaowocował przypisaniem rzeczywistej, historycznej postaci Rastka Nemanjića (świeckie miano św. Sawy – MDP) cudotwórczej mocy, jaką ludowa legenda obdarzyła Świętego Sawę: „Rastko Nemanjić posiadał również i moc nadprzyrodzoną, duchową energię, charyzmę, jakkolwiek byśmy tego nie nazwali, dzięki której lud uznał go za cudotwórcę”. (str. 45)

Owa nadprzyrodzona energia, wyjaśnia dalej autor *Świętych wojowników* „koncentruje się w brzuchu, rozprzestrze-



Paja Jovanović (1859-1957), *Migracja Serbów*, fragment, 1895, olej na płótnie. Muzeum Narodowe w Belgradzie.

Reprodukcja Album

nia po całym ciele, przydając mu nadludzkiej mocy”. Japończycy nazywają ją „ki”, Serbom zaś znana jest od niepamiętnych czasów. W naszej jednak tradycji jej właściwością jest coś zupełnie obcego wojownikom japońskim, którzy „potrafią jedynie uderzać i zabijać”; jest ona mianowicie przepojona „pięknem, miłością, artyzmem”. Owo przesłanie dotyczące natury serbskiego „ki” zawiera się nie tylko w podaniach o wielkich czynach Świętego Sawy, ale i w ludowych pieśniach, które opowiadają o innych „świętych wojownikach” – o Królewiczu Marku, Milošu Obiliciu, Bošku Jugoviciu, Banović Strahinji, Milošu Vojinoviću, Starinie Novaku i innych hajdukach; największe zaś znaczenie Predrag Milošević przydaje pieśni o „chorym (bolanim) Dojčinie” i o jego sławnym pojedynku z Czarnym Arabem. Mimo że chory od dziewięciu lat, „przemienił on, dzięki autosugestii, potęgę swego ducha w ogromną siłę fizyczną”, i to właśnie on przekazuje nam dzisiaj, że ową siłę „winniśmy w sobie odkryć i pielęgnować, tak jak to czynią Japończycy, a wówczas otworzą się i przed nami drogi, które przed nimi już stały otworem”. (s. 46-47)

Jest naszą powinnością, przekonuje dalej Predrag Milošević, powrót do tradycyjnej sztuki walki, sztuki świętych wojowników. I to nie tylko po to, aby dościsnąć Japończyków oraz innych Azjatów, ale również i po to, aby ich przewyższyć. Jest to zadanie, od którego wypełnienia zależy przetrwanie naszego narodu, a nawet i przetrwanie białej rasy w ogólności, „bowiem globalny bój pomiędzy białymi a żółtymi, trwający już od dwóch tysięcy lat, jeszcze się nie rozstrzygnął”. (str. 169)

Jednakże, jak się wydaje, ludzie obdarzeni mocą nadprzyrodzoną, podobnie zresztą jak sprawni manipulatorzy, najbardziej są dziś potrzebni ogarniętemu wojną narodowi. Takie wnioski wyciągnąć można z faktu, że astrologiczne, parapsychologiczne i bioenergetyczne idee zawładnięcia Mocą, przenoszenia energii z człowieka na człowieka, ze zwierzęcia na człowieka, albo też ze zbiorowości lub naturalnego otoczenia na jednostkę, obecne w analizowanych tu produktach naszej współczesnej, popularnej literatury wojenno-patriotycznej, która stanowi konglomerat tradycyjnego folkloru i nowej, masowej kultury, pełnią istotną rolę także i w dywagacjach niektórych współczesnych polityków. I tak na przykład, jedna z prominentnych osobistości w politycznej hierarchii tzw. Republiki Serbskiej (w Bośni – MDP), z zawodu biolog, swoją opinię na temat kadry politycznej, niezbędnej dziś bośniackim Serbom, wywodzi z kryteriów najoczywistej parapsychologicznych: „Jest to człowiek intelektualnie wartościowy, jednak w dzisiejszej sytuacji narodu serbskiego potrzeba nam ludzi innego typu; ludzi zdolnych każdą cząsteczką swego ciała absorbować witalną energię narodu”. („Duga”, 17.XII.1992)

Wiedząc o tym, że narody Serbii, Bośni, Czarnogóry, Chorwacji, a poniekąd i całej reszty byłej Jugosławii znalazły się dzisiaj na skraju wytrzymałości, rzecz by można, iż ów gatunek ludzi, którzy posiadli szamańską technikę pochłaniania i marnowania narodowej energii, jest u nas, niestety, reprezentowany aż nazbyt licznie.

Maj 1993

Przełożyła Maria Dąbrowska-Partyka

W obliczu Pyrrusowego zwycięstwa...

CIĄG DALSZY ZE STR. 2

gdysiejszej „literatury jugosłowiańskiej” bardziej trzeba żałować, aniżeli pisarzy zamkniętych w narodowych gettach, opętanych ideą rodzimości, albo prawdziwie (choć z bardzo różnych powodów) lamentujących na gruzach bezpowrotnie utraconego świata emocjonalnej Jugosławii.

Literatura próbuje sobie poradzić ze światem... fikcja podejmuje wyzwania rzeczywistości... niezbywalne „klamstwo sztuki” zmagają się z prawdą ludzkich uczynków, poszukuje ich źródła i ukrytego sensu. To prawda tyleż banalna, co nieokreślona i rozmyta. Jak odczytać realność groteskową i koszmarną – collage prawdziwych gruzów i dziwnych, ideologicznych fikcji? Jak znaleźć punkty oparcia, które zbiorowości przywrócą poczucie rzeczywistości, a pojedynczym ludziom – ich prywatne światy? Kto i jak potrafi ożywić intymną pamięć o codzienności minioniej i pobudzić energię godnego przeżywania codzienności nowej?

Te pytania literatura – nie tylko „jugosłowiańska” – powtarza w naszym stuleciu aż nazbyt często. Powtarza je, stając w obliczu losów, które ludzie zgotowali samym sobie. Losów, których przeraźliwe kształty także i ona sama projektowała nieraz i niechlubnie, a także i nazbyt gorliwie. Emocjonalnym fundamentem kolejnych wojen XX wieku, w tym również i najnowszych „wojen bałkańskich”, były przecież wewnętrznie puste, choć do czasu wszechwładne, fikcje ideologiczne.

Zmitologizowanym wyobrażeniom Historii, Religii, Tożsamości, Etnosu, czy wreszcie – politycznej Idei, nie tylko propaganda, ale i literatura zapewniały sprawczą obecność w świecie zbiorowej wyobraźni. Przeobrażały ideologię w fabuły, a tragedie konkretnych ludzi – w figury narodowych losów. Lecz gdy nadchodził moment otrzeźwienia i klęski, już nie literatura „narodowego realizmu” czy ideologia „postmodernistycznej dyktatury”, lecz poszczególni pisarze stawali twarzą w twarz z przerażającymi realnymi dowodami „potęgi literackiego słowa”. I w ostatecznym rozrachunku – to właśnie owe następstwa jego oddziaływania są kolejnym wyzwaniem rzeczywistości wobec literatury. Uciec przed nimi nie sposób, a sprostać im – bardzo trudno.

Czym były lata dziewięćdziesiąte w dziejach narodu i literatury? Jak ogarnąć rozmiary propagandowego kłamstwa i zmitologizowanej prawdy, zagnieżdżonej w ludzkich umysłach? Jak ośwoić dojmujące poczucie utraty – domu, przyjaciół, pejzaży, jeśli figura narodowego spełnienia, święte, choć dawno zetlane relikwie przodków i nowo wzniesione graniczne rogaliki okazują się zadośćuczynieniem niewystarczającym? Jeśli ostateczne zwycięstwo „narodowego interesu” objawia się jako zwycięstwo Pyrrusowe?

Taka postawa i ten rodzaj refleksji dominują w utworach pisarzy, których prezentujemy tutaj polskiemu czytelnikowi. Nie oznacza to, że właśnie ich głosy brzmią dziś najdonośniej w rodzimym środowisku, i że to oni są dominującymi postaciami literackiej sceny. Wybór, jakiego tutaj dokonaliśmy, właściwie „sam się ułożył” wokół sparafrazowanej formuły Tomasa Manna „Inna (post)Jugosławia”.

Bohaterowie naszej prezentacji kultuwują bowiem, w sytuacji bardzo dla siebie trudnej, tradycyjny etos środkowoeuropejskiej inteligencji. Wbrew przemożnemu naciskowi otoczenia nadal pragną być „sumieniem” swoich narodów, wypowiadając prawdy złe

CIĄG DALSZY NA STR. 14

Neda Miranda Blažević

Samotność

Lubię samotność.

Przechadza się ze mną ulicami Berlina,
Glasgow i Dubrownika.

Pozwala mi ujrzeć pod właściwym kątem
Wielką Niedźwiedzicę.

Pomaga zebrać
jasne wspomnienia o śpiącym aniele
w Huatalca, w Meksyku.

Prowadzi ku melodyjnym
głosom pracowitych chłopów
w południowych Alpach.

Ośmiela do nauki
jeszcze jednego języka,
który zrozumie
wszystkie drogi,
jakimi jeszcze przejdę.

Samotność,
moja wierna przyjaciółka,
z kleszeniami zawsze
pełnymi cukierków.

Strona prawdy

dla V.V

Ta ślepa fantazja,
by spotkać swego krytyka
i powiedzieć mu:
zanim napadniesz na moją
stronę prawdy,
pomyśl o niej,
o prawdzie
jak o trójwymiarowym spojrzeniu
na własną twarz.

Co widzisz?
I z której strony?
W jakim czasie?
Przy jakim świetle?
Czy obrócisz się wokół własnej osi,
żeby zobaczyć niewidzialne?

Czy masz takie same oczy
jak dawniej?
A co z ustami?
Brwiami i brodą?
Z czołem?
Czy pamiętasz to,
co widziałeś wczoraj?
Przed rokiem?
Przed jedenastu laty?

Które ze wszystkich tych ty
jest rzeczywiste, prawdziwe?
I w końcu czy wierzysz,
że prawda jest subiektywną pamięcią,
a może prawda to wiara w coś,
w co inni chcieliby, byś uwierzył?

Teraz, gdy to czytasz, mój krytyku, jakich używasz
okularów?

NEDA MIRANDA BLAŽEVIĆ (1951)
– jedna z najciekawszych poetek
chorwackich. Debiutowała w roku
1976, opublikowała sześć tomów
wierszy, m.in. *Mimikrę* i *Janusa*. Pięć
esejów i prozę. Z prozy należy wy-
mienić powieść-relację z podróży po
Stanach Zjednoczonych pt. *Ameri-
kańska uwertura*.

Wielki Słownik Przechodzenia

Kiedy Samuel Beckett przeszedł
z angielskiego na francuski,
zaczął śnić po kikulsku,
w języku, o którym nic wcześniej nie słyszał.

Dobrze śnić w nieistniejącym
języku, bo jest okazja, by zostać kimś trzecim –
powiedział śniący.

Jako trzeci Beckett mógł wyraźniej dostrzec to,
czego brakowało temu pierwszemu, angielskiemu
Samuelowi
i temu drugiemu oczywiście, francuskiemu Samowi.

Wahtal! Wahtal! Wahtal!
Szeptal po kikulsku.

Beckett albo ktokolwiek to był
obudził się i zaczął pisać
Wielki Słownik Przechodzenia.

Zapytuję,
czy nadszedł już czas, by zacząć
zapisywać sny
w języku babilońskim?

Zagrzeb

Poznajesz mnie,
patrz na mnie tak
zafalotnie?

Jest lipiec,
pełnia lata,
jeszcze jedno otwarcie światła.

Hałaśliwe stado widoków
spaceruje wczesnym popołudniem
llicą,
opromienione bliskością
słońca, katedry,
zapachu kawy i przechodniów.

Gdy radość w moich oczach
staje się rytmem
barwy dnia,
wyraźnie czuję,
jak delikatny uśmiech
mojej młodości
trzyma mnie mocno szepcząc:
witaj z powrotem!

Przełożył Julian Kornhauser

Bratislav Taškowski *Ostatnia podróż dobrego Makarego*

BRATISLAV TAŠKOWSKI (ur. 1960 Skopje) – poeta, prozaik i dziennikarz macedoński. Opublikował m.in. *Prsti vo oblacite* (*Palce w obłokach*, 1987) i *Opasna hartija* (*Niebezpieczny papier*, 1992). Jego twórczość charakteryzuje się skłonnością do spontanicznej obserwacji rzeczywistości, wzbogaconej elementami grotesku i nadrealizmu.

Zdumiewające sprawy działy się w tamten przeklęty poniedziałek przed oczami Zozema Iszkarioty, znanego jako ojciec Makary, pustelnik z Góry Athos i mnich z klasztoru Belčišta. Najjaśniejsza matka przełożona Angelina paradowała nago pod trzema słonecznymi łukami, unosząc na piersiach pozostałości żółtych i błękitnych wodorostów wielkości jesiennych brzoskwiń, a Sofroniusz – wiejski nowinkarz, krętać i mądrała – głosem przerażonego kotlarza dobitnie ogłosił, że w przytomności ducha ujrzał, u Białej Góry zakonniczy, obcy trójmasztowiec z trzydziestoma działami i żaglami o niespotykanym kształcie. Z twarzy cudzoziemskich żołnierzy wyciekał smutek, zaś szwadron łysych osiłków walił w potężne tołumbasy. W całym tym zamęcie najbardziej niepokojąco brzmiały pogłoski – daleko okrutniejsze od przepowiedni proroków jerozolimskich i huku olbrzymich maszyn kruszących twardymi zębami kamienie niczym wstążki makaronu, by później jak żwawe konie rozciągnąć na nich żelazne potwory o długich dziobach.

Działo się to w nocy, gdy złowrogo połyskiwało siedem księżyców, a zważywszy na skargi rybaków, iż co wieczór nieznanym głosem ploszył im ryby powtarzając w kółko te same niezrozumiałe słowa, ojciec Makary zdecydował postawić kwestię bytu „czegoś naprawdę istniejącego, o czym ani on, ani jego poddani nic nie wiedzą”, zaistniało to wszelako z taką mocą, że podzielało niczym opatrność na zakłopotanych niewiedzą starszych i niczym wyzwanie na młodych, dopatrujących się znaków upadku staroświeckich wizji świata, tak więc Czarny Makary, dobry Zozem Iszkariota napakował torbę sekstansami, atlasami, roztworami rtęci, sanskryckimi zaklęciem i karami babilońskimi, ruszając w drogę ku Białej Górze w poszukiwaniu tego, co istnieje, a nikt nie wie, czym jest. Nadeszła późna jesień, dzień świętego Mikołaja, skrzypiący mróz i długa niepewność.

Opuszczeni przez Makarego z kategorię zbankierów z Zürichu zdecydowali zachować spokój oraz bojaźń wyłącznie względem świętej Paraskiewy, i to do pewnych granic. Zakazano samobójstw, jako że zwykły wywoływać skutki nieprzewidziane. W miarę upływu czasu winnice opustoszały, sady zostały zeżarte przez gąsienice i melancholia, bydło domowe pozostawiono własnemu losowi, baczono tylko na ptactwo, ponieważ ludziom niełatwo oswoić rzeczywistość bez świergotu wróbel, krakania kruków i pawich lamentów.

Na święto Objawienia zatrwożeni fallicznym kształtem wiejskiego sługi cerkiewnego poszeptali już o roznoszącej się woni „tego, co istnieje, ale nikt nie wie, czym jest”. Lewa frakcja wieśniaków pod przewodnictwem kowala Teodora poczuła więc zapach dojrzewającego pod dzwonnica opium, pracownicy ekstremiści Kefalasa, gwiazdowego wróżbity o głowie jak dynia, z pewnością żydowskich saduceuszy utrzymywali, że chodzi o smród zepsutej żółci szarego barana, lecz najbardziej przekonywało tłumaczenie niejakiego Isihije ze wsi Volkoderi, wywodzącego z głębi jeziora zapach o sile trzech wierzchowców, od którego kobietom ścieła się na piersiach wodorosty, krowy ciela się co trzy tygodnie i woda żółknie, co potwierdził siedmioma sążnistymi epistolami, gdzie można było przeczytać, iż jakiś bakałarz imieniem Teofilakt z Godiivja doczekał się siedemnastu cieląt, z których samice już powiły po trzy cielne młode, a z sutoków swej żony Pandory zdążył wydoić trzysta funtów wodorostów, dwie konwie wosku i szufladę pereł.

Usłyszawszy o tym, uczestnicy pewnej wyprawy, prowadzeni przez gadatliwego cyrkowca z Craiovy, postanowili raz na zawsze wyjaśnić sprawę owej tajemnicy i któregoś piątku, rozbijwszy namioty pod północnymi murami, wzięli udział w dokonanej przez swego przewodnika z determinacją bagdadzkiego zbójcy prezentacji supernowoczesnej telewizji zapachowej, po której przyszła kolej na inne kuglarskie prowokacje, a to szkatułkę z substancją roztopiającą każdy metal, maszynę do wyrobu ubrań, arcykowość – przezroczystego człowieka oraz cudowną lupę jako ucieleśnienie bezgranicznej mocy, toteż kto tylko chciał i odpowiednio zapłacił, mógł ujrzeć setkę ludzi zamkniętą w drewnianym sło-

ju, następnie na pamiątkę swych wtajemniczeń uczynić metal płynnym, otrzymać nowe ubranie i osłupieć z przerażenia, badając świat pod lupą.

Szybko przekonano się, że „to, co istnieje, choć nie wiadomo, czy na pewno” daje drogę okupione zadowolenie, toteż wygadany cyrkowiec z Craiovy zebrawszy osiem świeżo narodzonych cieląt, dziewiętnaście indyków, sześć dorodnych kogutów, trzy jagnięta do przychówku i szesnaście worków niepotrzebnych drobiazgów, złożył kurtuazyjny ukłon i uroczystie przekazał obecnym swe najnowsze osiągnięcia, obiecując wkrótce zająć z nowymi dowodami istnienia.

Gdy zaś przeminęły dwie Wielkie Noce, nie liczono już zmieniających się grup pielgrzymów. Tyle ich było – hodowcy jedwabiu z Szanghaju, przetwórcy wosku z Lyonu, naciągacze prawdy z Harare, producenci pamfletów i mów powitalnych z Owczego Pola, poskramiacze dzikich zwierząt i roślin z Aleksandrii, egzorcyści z Brukseli i drobni szachraje z Seszeli. Ostatni przybyli weneccy sprzedawcy pór roku, lecz dziś nikt nie potrafił dokładnie odtworzyć tamtych czasów – odkrywano, że „coś istniało, lecz oni o tym nie wiedzieli”. Na miejscu gospodarzył Sofroniusz, najjaśniejsza matka przełożona Angelina zdobywała po okrucieństwie błękitne niebo i coraz większą część istnienia w zamian za niewinne wysysanie jej wodorostów, pozostałym zaś niczego nie brakowało odkąd odkryli, że „to ci istniało, istniało naprawdę” i kłóży jeszcze w to wątpli, czy wspominał jakiegось ojca Makarego.

W końcu marca jezioro przybrało kolor wyciśniętej cytryny i na Zwiastowanie rozszedł się zeń odór zgnitych trzaw, a ponieważ nie znalazł się między ludźmi mądry, umięjący wyjaśnić nagłą zmianę panującego dotychczas zapachu, najtęższe głowy uradziły, iż one oba muszą sobie być pokrewne i należy im zgotować zgodne powitanie jak przystoi niepewnym gospodarzom, ot tak, żeby nie daj Boże.

Gdy sposobiono się do największego święta w Edrinie, smród niespodziewanie ustąpił, a jezioro wyrzuciło siedem białogłowych osłów niczym siedem straszliwych kar, co cerkiewny sługa jął tłumaczyć niegodziwością miejskiego lekarza i kiedy za namową biedaka zaczęto preparować proces na wielką skalę, mający pociągnąć wszystkich medyków do odpowiedzialności, zjawił się – także na ośle – w całej swojej krasie załamany nostalgią Zozem Iszkariota, pustelnik z Athos, mnich z klasztoru Belčišta, dobry Makary, ledwie rozpoznawalny, dotknięty krzywicą i pokurczony, a zarazem dziwnie jakoś opuchnięty.

Pomyślano wprawdzie, że powrócił ów syty hochsztapler, który ongiś uczynił w Edrinie wielkie zamieszanie w związku z otwarciem pierwszego kina i klubu, anektując przy tym siedemdziesiąt trzy ławki, by speszony naród przekonał się o wartości szwajcarskiej aparatury, ale przecież zdarzyło się to tak dawno, iż nie pozostał we wsi żaden żywy świadek tamtych cudów, ledwie budzących odległe skojarzenia.

Następnie siedem młodych wdów obudziło w sobie nadzieję na spotkanie z handlarzem satynowych róż, który na początku wieku stał się w ich oczach sprawcą przekleństwa zakonnych oraz poharbionych niewiast i wreszcie wyteżywszy mózgi, rada starców orzekła, że przybyły przez nikogo nie zauważony nawiedzał już wieś, pachniał bowiem niewidzialnymi szyszkami, a wcześniej miał się udać poznać cywilizację przebijającą spychaczami oraz dynamitem drogę przez oświetloną silnymi reflektorami skalę. Ktoś się ocknął, podejrzewając powrót weneckiego sprzedawcy pór roku po nie spłacone długi, ale i to zdarzyć się miało po odejściu Makarego, gdy odkryto możliwość łowienia ryb w światłości i łapania z pomocą nieznanym dźwięków – przemyskając po niebie jak po fałdach bawełny. Dopiero sprowadzony najstarszy zakonnik z Lesnova z całą pewnością stwierdził, co dzieje się z pajęczyną w wiejskich rynsztokach i wtedy niby w cudownym objawieniu wydało się, iż przez cały ten czas wszyscy podróżowali po obcych światach jak widma i stygmaty dziejowej niesprawiedliwości, a w istocie przez sto lat żyli na podobieństwo płazów. Wtedy zobaczyli siebie samych uparczywie wysysających żonom wodorosty z piersi, pojeli nieuleczalną chorobę trawiącą ich umysły w wizjach przyjezdnych i cyrkowców. Najwyraźniej Stwórca w swym chwalebnym zamiarze zapomniał nadać tym ludziom formę skończoną. Do tego lunęła ulewa drobnych ślimaków i raków i nikt nie zdążył ogarnąć ogromu zasmuczonej góry, ruszającej pewnym krokiem ze swego miejsca.

A dobry Makary, ze spokojem człowieka sukcesu, wymógł pajęczynę ze świętych miejsc, rzecz jasna także z rynsztoków, próbując odgadnąć, kto karmił konie świętymi księgami przy dostawku zielonej trawy. Odpowiedziano mu na to, że przemaszerało siedem wojsk, w tym dwa obcej wiary.

Rozejrzał się za gościnnym dworem, stojącym już jedynie w jego wspomnieniu, podobnie jak dzwonnica – przywidzenie młodości, zburzone przez jakichś profesorów prawa, twórców nowej, czerwonej ery. Nie mógł zrozumieć, na ile zmienił się świat i „dlaczego nie ma teraz tego, o czym wszyscy kiedyś wiedzieliśmy, że istnieje, lecz baliśmy się pytać, gdzie istnieje i dlaczego”.

Po dziewięciu dniach od powrotu deszcze przestały padać i znów nie umiano wyjaśnić, z jakiego powodu opustoszały zaułki i co oznacza najbardziej uroczysty pogrzeb w historii Edrina, na którym lud płacze w rytm marsza wygrywanego na trąbach. Tak, w tej samej chwili w innej stronie na wiejskim cmentarzu, grzebali swoje tajemnicze i miłe sercu wspomnienie przeorysa Angelina i Sofroniusz. Oto historia kończy się, a my spostrzegamy, że wszystko, co powinno istnieć, istnieje faktycznie gdzieś musi.

I spadł śnieg, biały jak świeża mąka.

„Razgledi” 1993, nr 1-3, s. 109-114.

Przełożył Lech Miodyński

Vojo Stanić (Czarnogóra), *Strach*, 1997, olej na płótnie, 70 x 100 cm. Pawilon Jugosłowiański, BV '97, Wenecja.

Reprodukcja Album



Barbara Oczkova **Wojna języków**

Wielość języków i brak szerszej informacji na ich temat sprawiały, że przeciętny Polak często sądził, że w Jugosławii mówiło się językiem „jugosłowiańskim”. Powstanie takiego języka byłoby niewątpliwie spełnieniem marzeń władz byłej Jugosławii, które się jednak nigdy nie ziszczyły.

W istniejącej do czerwca 1991 r. Federacyjnej Socjalistycznej Republice Jugosławii obowiązywały trzy języki urzędowe: słoweński dla ok. 1 mln 700 tys. ludności słoweńskiej, macedoński – mówiło nim ok. 1 mln. 600 tys. osób oraz serbsko-chorwacki, którym w czterech republikach: Serbii, Chorwacji, Czarnogórze oraz Bośni i Hercegowinie posługiwało się ok. 20 mln. obywateli tych narodowości (dane z lat siedemdziesiątych). Oprócz tego, licznie tu żyjące mniejszości narodowe używały się własnych języków: albańskiego (1.700 tys. mieszkańców!), węgierskiego, cygańskiego, tureckiego, rumuńskiego, bułgarskiego, czeskiego, włoskiego, rosyjskiego i ukraińskiego, tworząc tym samym prawdziwą mozaikę językową.

CZYM BYŁ JĘZYK SERBSKO-CHORWACKI?

Dziś, po rozpadzie dawnej Jugosławii i powstaniu nowych państw etnicznych, język słoweński i macedoński są językami narodowymi Słowenii i Macedonii, zamieszkujących własne państwa. Natomiast pro-

blem języka serbsko-chorwackiego jest nadal kontrowersyjnym zagadnieniem nie tylko dla językoznawców, ale też dla polityków, dla których język – podobnie jak granice – to zarówno podmiot i przedmiot, cel i narzędzie walki politycznej. Okrutna wojna toczona w latach 1991-95 była również wojną o języki narodowe.

Cóż zatem stało się z językiem serbsko-chorwackim? Otóż, po prawie stuletnim okresie istnienia w momencie secesji Chorwacji 25 VI 1991 r. rozpadł się on na dwa odrębne języki: serbski i chorwacki. Następnie w 1995 r. zalegalizowano w Dayton język bośniacki, a obecnie jesteśmy świadkami starcia Czarnogórców o uznanie języka czarnogórskiego. Problem języka serbsko-chorwackiego ma wiele aspektów wzajemnie się ze sobą splatających, a więc nie tylko natury lingwistycznej czy socjolingwistycznej, ale też historycznej, kulturowej, narodowościowej/nacjonalistycznej i politycznej.

Sama dwuczłonowa nazwa łącząca w sobie języki dwóch odrębnych narodów nie ma precedensu nie tylko w językach słowiańskich, ale i europejskich. Belgijka (flamandzka) i holenderska odmiana języka niderlandzkiego, z którymi często porównywano fenomen serbsko-chorwacki funkcjonują w dwóch państwach, mają zatem inne warunki społeczno-polityczne niż miał je język serbsko-chorwacki, będący przez długi okres wspólnym językiem czterech narodów w jednym państwie.

Nazwa w postaci *chorwacki lub serbski* pojawiła się już co prawda w 1867 r. na Soborze chorwackim, jednak praktycznie jako wspólny język literacki zaczął on funkcjonować dopiero od ostatnich lat XIX w. – choć nigdy nie stał się językiem jednolitym i jednorodnym, lecz prawie przez sto lat występował jako dwa (serbski i chorwacki) a nawet cztery (bośniacki i czarnogórski) warianty względnie odmianki języka serbsko-chorwackiego.

Powody jego rozpadu trudno pojąć bez zapoznania się z historią i okolicznościami, w których powstał, a z kolei motywów genezy nie można zrozumieć bez odwołania się, chociażby powierzchownego, do jeszcze starszej historii języków literackich u Serbów i Chorwatów, tym bardziej że źródła sporów językowych toczonych zarówno kiedyś, jak i obecnie, po rozpadzie, sięgają swoimi korzeniami w zamierzchłą przeszłość.

Piśmiennictwo u Serbów i Chorwatów, podobnie zresztą jak i u pozostałych Słowian południowych (z wyjątkiem Słowenów) i wschodnich, rozpoczęło się w XII w. od piśmiennictwa w języku staro-cerkiewno-słowiańskim redakcji serbskiej i chorwackiej.

Język staro-cerkiewno-słowiański

(s-c-s) był to w ogóle pierwszy język literacki Słowian, powołany do życia przez św. Konstantego-Cyryla i Metodego, którzy w 863 r. wysłani z posługą misyjną do państwa Wielkomorawskiego zapisali (stworzonym przez Konstantego alfabetem glagolickim) znany im dialekt rodzimego Solunia (gr. Saloniki), językowo należący do dialektów bułgarsko-macedońskich. Wielkomorawska misja Cyryla i Metodego trwała krótko (863-885), ale jej następstwa odnajdujemy na przestrzeni wieków w historii kultury, literatury i języka tych narodów, które najpierw przyjęły s-c-s jako język liturgiczny, a następnie literacki i urzędowy. Z biegiem czasu, oderwany od swoich rodzimych korzeni i funkcjonujący w środowisku coraz bardziej różniących się od niego języków słowiańskich staje się on językiem martwym – „łaciną słowiańską”, ulegającą wpływom żywych języków. W ten sposób powstały młodsze odmianki s-c-s, czyli redakcje.

Równocześnie jednak, na zasadzie dyktomii językowej, u Serbów i Chorwatów w świeckim piśmiennictwie nieliturgicznym pojawia się stosunkowo czysty język staroserbski i starochorwacki.

Co należy rozumieć pod ówczesnym pojęciem języka serbskiego i chorwackiego? Otóż na obszarze, którym się obecnie zajmujemy występowały trzy główne dialekty: sztokawski, čakawski i kajkawski. Nazwy ich pochodzą od postaci zaimka pytającego co, który brzmi: *što, šta* lub *kaj*.

Na terenie Serbii występuje jedynie dialekt sztokawski, toteż język serbski to równocześnie sztokawski. Natomiast w Chorwacji występują wszystkie trzy, chociaż zasięgi čakawskiego i kajkawskiego są dziś znacznie ograniczone. W XII w. język piśmiennictwa chorwackiego był oparty na dialekcie čakawskim, a więc nie na sztokawskim, który stanowi obecnie jego podstawę dialektyczną. Do czasu powstania serbsko-chorwackiego losy języków literackich u Serbów i Chorwatów były zupełnie odmienne.

Rozwój języka literackiego w Serbii

był stosunkowo stabilny. Wspomniana dyktomia (język cerkwi – piśmiennictwo nieliturgiczne) utrzymała się aż do pocz. XVIII w. Długa tradycja cerkiewna i wysoki prestiż serbskiej cerkiewszczyzny (Serbowie poslu-

giwali się cyrylicą – drugim, młodszym alfabetem słowiańskim opartym na greckiej majuskułach, który w XII w. wyparł wcześniejszą glagolicę) miał swoje oparcie w autokefalicznej Serbskiej Cerkwi Prawosławnej. W znaczny sposób zahamowało to rozwój narodowego języka literackiego, który miał niższą rangę i mniejszy zakres użycia, natomiast nieskrępowanie rozwijał się jako język ustnej literatury ludowej. Na dzieje piśmiennictwa serbskiego negatywny wpływ wywarł najazd turecki, klęska na Kosowym Polu w 1389 r. i utrata niepodległości w 1459 r.

Taką w zasadzie sytuację językową (pomijamy tu prawie przez 100 lat funkcjonujące dwa języki literackie: oparty na cerkiewszczyźnie ruskiej *ruskosłowiański* oraz sztuczny *słowianoserbski*) zastał **Vuk Stefanović-Karadžić** (1787-1864) – językoznawca-samouk, etnograf, zbieracz folkloru, pisarz i ideolog, ale przede wszystkim reformator i twórca nowoczesnej kultury i serbskiego języka literackiego. Zerwał on z tradycją cerkiewną i oparł nowy język na jednym z dialektów sztokawskich (wschodniohercegowiński) – języku bogatej, ustnej literatury ludowej. Napotkał na silny opór środowiska ówczesnej elity posiadającej wykształcenie cerkiewne, broniącego tej tradycji jak też występującego przeciwko folkloryzacji języka, toteż jego reforma została oficjalnie przyjęta dopiero w 1868 r.

Język chorwacki

tworzył swoje liczne języki literackie w oparciu o różne dialekty (zarówno čakawski, kajkawski jak i dialekty sztokawskie). Tym samym niewątpliwie zajmuje on pierwsze miejsce na liście języków o najbogatszej, a równocześnie najbardziej złożonej tradycji literackiej. Tradycja cerkiewna u Chorwatów trwa znacznie krócej – do końca XV w., co nie dziwi, zważywszy że katolicka Chorwacja należała do kręgu kultury zachodnioeuropejskiej. Cerkiewny funkcjonuje jedynie jako język liturgiczny na małym obszarze (Istria, Kvarner z wyspami, Senj) uprawianego tu obrządku słowiańskiego, katolickiego i podległego Rzymowi, jednak używanego w liturgii języka s-c-s i alfabetu glagolickiego.

Od XVI w. w języku literackim jako rezultat złożonej sytuacji historyczno-polityczno-społecznej (Reformacja, najazdy tureckie wywołujące masowe migracje ludności – również serbskiej – i w rezultacie niespotykane gdzie indziej mieszanie dialektów), pojawia się zjawisko regionalizmu, czyli równoczesnego występowania w różnych ośrodkach w funkcji literackiej wszystkich trzech dialektów: čakawskiego (w Dalmacji – kolebce państwowości i piśmiennictwa chorwackiego), sztokawskiego (Dubrownik) oraz kajkawskiego (Zagrzeb). Dominuje čakawszczyzna przeżywająca złoty wiek swego rozwoju jako język dalmatyńskiej literatury renesansowej powstałej pod wpływem silnych związków z włoskim renesansem.

Jest to równocześnie początek charakterystycznego dla Chorwacji zjawiska tzw. trójjęzyczności i trójalfabetyczności, czyli współwystępowania trzech alfabetów: glagolicy, cyrylicy oraz łacinki (od 2 poł. XIV w.) Ta złożona sytuacja rodzi pierwsze próby normalizacji chorwackiego języka literackiego, które idą w dwóch kierunkach: stworzenia języka mieszanego łączącego elementy trzech dialektów, względnie wyboru dialektu o największym zasięgu terytorialnym, czyli sztokawszczyzny.

Stan „trójjęzyczności” utrzymuje się w piśmiennictwie chorwackim, aż do XVIII w., kiedy to z powodu upadku čakawszczyzny literackiej powraca dyktomia kajkawsko-szto-

TROGIR, 1999.

Fotografia Grażyna Borowik



pagator i krzewiciel idei iliryzmu w Chorwacji, a także reformator jej języka.

W latach 30-tych XIX w. wśród części Słowian południowych zrodził się ruch odrodzenia narodowego pod nazwą iliryzmu jako obrona przed nacjonalistyczną polityką Węgier. Wyrosły z żywych tradycji słowianofilstwa i panslawizmu był zasadniczo ruchem polityczno-kulturalnym, głoszącym idee jedności południowosłowiańskiej przede wszystkim w dziedzinie kultury i języka. Nazwą nawiązywano do starożytnych mieszkańców Bałkanu – Ilirów. To tutaj narodziła się

Idea wspólnego języka Serbów i Chorwatów

której inicjatorami byli – co jest często podkreślanym przykładem paradoksu historycznego – sami Chorwaci.

W 1835 r. Lj. Gaj zrezygnował z dialektu kajkawskiego na rzecz sztokawskiego, kierując się powszechnością jego użycia oraz bogatą tradycją literacką. Stał się on podstawą języka ilirskiego, w którym – realizując hasło ilirskiego uniwersalizmu – dopuszczono także elementy innych dialektów (czakawskie, kajkawskie jak i też formy różnych dialektów sztokawskich). Tym samym stworzono w pewnym sensie język mieszany, a nawet sztuczny, jednakże wybór sztokawszczyzny jako podstawy (choć nie była to ta sama odmiana sztokawskiego, którą wybrał Vuk), był pierwszym w tym okresie krokiem zbliżającym do siebie oba języki – serbski i chorwacki.

Utopijne ilirskie idee językowej i kulturalnej jedności wszystkich Słowian południowych nie wywołały oddźwięku ani w Serbii, ani wśród innych narodów. Serbowie, budując swoją tożsamość narodową na prawosławiu i idei Wielkiej Serbii zamieszkaną przez Serbów, nie byli zainteresowani, aby – jak mówił Vuk – porzucić swoje sławne serbskie imię i przyjąć martwe ilirskie.

Iliryzm znika po Wiośnie Ludów. Odrodzi się niejako w przyszłości w postaci idei jugosłowiańskiej. Jego ideologicznym spadkobiercą w dziedzinie języka staną się chorwackie szkoły filologiczne (w Zagrzebiu, Zadarze, Rijecie) – ośrodki, gdzie w wyniku współpracy gramatyków i działaczy kultury rodził się przyszły kształt języka chorwackiego. Reprezentując odmienne poglądy, a równocześnie nie akceptując w pełni kształtu językowej reformy Vuka w Serbii, szkoły te prowadziły między sobą ostre spory.

Za przełomowy moment w procesie powstania języka serbsko-chorwackiego uważa się podpisanie w 1850 r. przez Serbów i Chorwatów tzw. umowy wiedeńskiej, która ustalała zasady jego funkcjonowania, choć praktycznie przez resztę wieku pozostała ona jedynie pisemną deklaracją.

Praktycznej konsolidacji obu języków dokonano dopiero szkoła tzw. Vukowców, skupionych wokół działającego w Zagrzebiu Daničića – ucznia Vuka Karadžicia. To dzieła Vukowców, a konkretnie gramatyka, ortografia oraz słownik przyjęły i utwierdziły ostatecznie w ostatnich latach XIX w. tę normę sztokawszczyzny (wschodniohercegowińskiej), którą wybrał Vuk jako podstawę serbskiego języka literackiego.

Tym samym nastąpił więc moment

Językowego zjednoczenia dwóch narodów

wywodzących się z różnych kręgów cywilizacyjnych (Bizancjum – Rzym), reprezentujących odmienne losy historyczne, tradycje kulturowe i religijne, mentalność społeczną, systemy wartości narodowych, czyli dwa różne etosy, w sferze zaś języka – co warto szczególnie podkreślić – inne typy tradycji literackiej. W przeciwieństwie do cerkiewnosłowiańskiej tradycji literackiej u Serbów, u Chorwatów występowała rodzima „trójjęzyczność”. I fakt, że nic ich nie łączyło,

natomiast wszystko dzieliło, stanie się w przyszłości źródłem wielorakich konfliktów.

Wspólny na najbliższe sto lat język okazał się więc nie błogosławieństwem, lecz przekleństwem – żeby przytoczyć opinię Joanny Rapackiej, autorki *Godziny Herdera* (Warszawa 1995), w której wyczerpująco opisuje kulturowo-historyczne zaplecze konfliktu serbsko-chorwackiego. Język chorwacki będzie bowiem elementem składowym wspólnoty językowej, ale nie będzie w niej partnerem równoprawnym.

Już na samym początku starań podejmowanych wokół utworzenia tego wspólnego języka posiano ziarno niezgody. W 1849 r. Vuk Karadžić napisał artykuł *Srbi svi i svuda* (Serbami wszyscy i wszędzie), do dziś uważany za symbol serbskiego szowinizmu. W miejsce dotychczas istniejącego wyznacznika narodowości serbskiej – prawosławia, Vuk wprowadza kryterium językowe, zgodnie z którym wszyscy mówiący dialektem sztokawskim, bez względu na wiarę, a więc także muzułmanie i katolicy Chorwaci – są Serbami. W konsekwencji powstało określenie *Srbi sva tri zakona* (Serbowie wszystkich trzech wyznań). Chorwaci, według Vuka, a właściwie ich etniczne resztki, to ci, co posługują się czakawskim, ci zaś, którzy używają kajkawszczyzny to Słoweńcy (ponieważ dialekt ten jest zbliżony do języka słoweńskiego). Ten pogląd jest dziś nadal aktualny wśród językoznawców serbskich, którzy zgodnie z nim twierdzą, że Chorwaci nie mają własnego języka, lecz posługują się serbskim językiem Vuka Karadžicia, który przywłasz-

czyli sobie w okresie Odrodzenia Narodowego. (Nota bene podobny spór językowy toczyli pomiędzy sobą Macedończycy i Bułgari, którzy długo nie uznawali odrębności macedońskiego języka literackiego powstałego w czasie II wojny światowej.)

Wiek XX rozpoczyna językową wspólnotę Serbów i Chorwatów. Od 1918 r. do 1941 r. Serbowie i Chorwaci znaleźli się we wspólnym Królestwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców, a od 1929 r. w Królestwie Jugosławii. Od początku, we wszystkich dziedzinach życia uwidaczniała się silna, centralistyczna polityka Belgradu, co znalazło nawet odbicie w żarcie politycznym, polegającym na odczytywaniu nazwy państwa *Kraljevina SHS* jako *Srbin hoće sve* (Serb chce wszystko). Serbski unitaryzm językowy przejawiał się poprzez narzucanie serbskiej terminologii w szkolnictwie, wojsku, sądownictwie i polityce.

W latach czterdziestych przeciwko temu zaprotestowali lingwiści chorwaccy, stwierdzając, że serbsko-chorwacki jest językiem abstrakcyjnym i sztucznym, ponieważ jego praktyczna realizacja może być wyłącznie albo serbska, albo chorwacka, nigdy zaś serbsko-chorwacka, są to bowiem nadal dwa różne języki z odrębną historią, a przede wszystkim z wieloma różnicami w strukturze gramatycznej, mimo że oparte są na tym samym dialekcie. Autorzy poparli swoje poglądy długą listą różnic fonetycznych, fleksyjnych, słowotwórczych, składniowych, stylistycznych, ortograficznych, ale przede wszystkim liczącymi tysiące przykładów odrębnym słownictwem.

Główną cechą odróżniającą warianty języka serbsko-chorwackiego była tzw. wymowa ekawska u Serbów (*mleko*), a ijekawska (*mljeko*) u Chorwatów, Bośniaków i Czarnogórców. Jako zaś symboliczną ilustrację pozostałych różnic przytoczmy zdanie brzmiące zupełnie odmiennie (z wyjątkiem liczebnika „dziesięć”) w obu językach *Pociąg z dworca kolejowego odjedzie dokładnie o godzinie dziesiątej*. Serbski: *Voz sa železničke stanice krenuće tačno u deset časova*; chorwacki: *Vlak sa željezničkoga kolodvora krenut će točno u deset sati*.

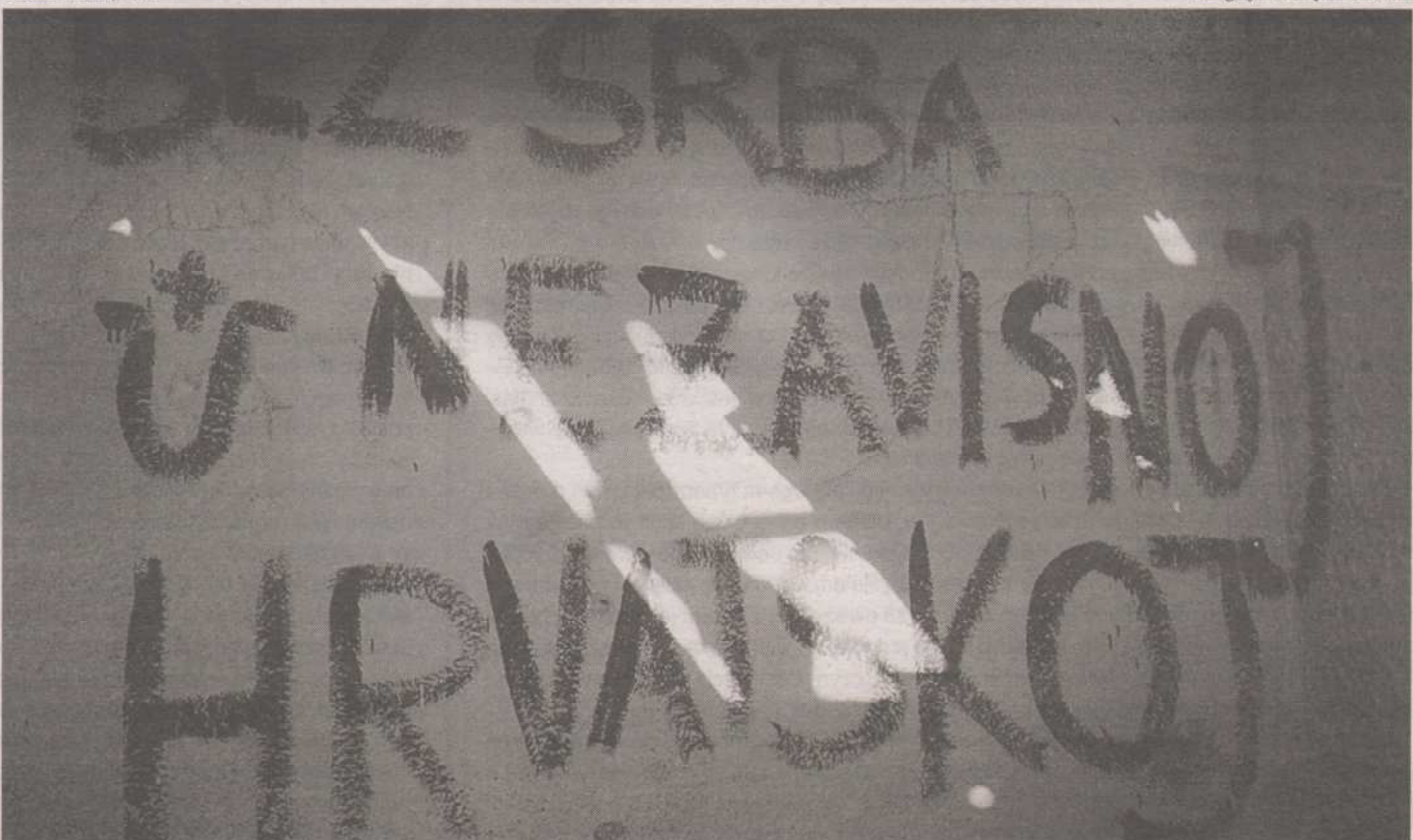
Najdłuższy okres wspólnoty językowej to lata 1945-1991, kiedy to ze względu na obowiązującą ideologię język, jak nigdy dotychczas, był narzędziem polityki dążącej do stworzenia zunifikowanego społeczeństwa ze wspólną świadomością socjalistyczną w myśl obowiązującego hasła *bratertva i jednosti*. W rezultacie, w całym tym okresie, podlegał on sztucznej, „odgórnej” integracji.

Latem 1966 r., w okresie rozrachunków z polityką centralistyczną powstał dogodniejszy klimat dla dyskusji o języku chorwackim. 17 marca 1967 r. jako sprzeciw wobec nieustannie postępującej serbizacji ukazuje się słynny dokument *Deklaracja o nazwie i sytuacji chorwackiego języka literackiego*, domagający się prawnego zagwarantowania równości wszystkim czterem językom na terenie Jugosławii, ponieważ każdy naród posiada niezbywalne prawo do nadania językowi, którym się posługuje, własnej narodowej nazwy. Deklaracja została oceniona jako prze-

CIĄG DALSZY NA STR. 14

CHORWACJA, 1998.

Fotografia Grażyna Borowik



Pavao Pavličić

Vukovarskie widokówki

PAVAO PAVLIČIĆ (1946) — współczesny pisarz chorwacki, którego twórczość (ponad 40 tytułów) cieszy się od lat niesłabnącą popularnością. Przygodę z literaturą rozpoczął od fascynacji Borge-
sem i fantastyką (*Ladja od vode*, 1972), potem pojawiły się próby zmierzenia się z gatunkiem krymi-
nału i postmodernistyczne gry literackie. Publikowane ostatnio próby połączyć motyw rodzinnego
miasta Vukovaru, zniszczonego przez Serbów w działaniach wojennych 1991 roku (między innymi:
Szapudi, *Dieland*, *Przewodnik po Vukovarze*). Połskiemu czytelnikowi znany z wydanej właśnie
książki *Plac Wolności*.

Miejsce na mapie

Jeszcze zupełnie niedawno, gdy ktoś zadawał pytanie o miejsce mojego urodzenia, od-
czuwałem pewne zażenowanie. Nie dlatego, żebym się wstydził, że pochodzę z Vukova-
ru, Boże uchowaj; chodziło o to, że wiedziałem, iż odpowiedź postawi mojego rozmówcę w
niezręcznej sytuacji; nie będzie miał pojęcia ani gdzie ten rozkoszny Vukovar się znajduje,
ani o co w ogóle chodzi i dlatego szybko spróbuje zmienić temat. Albowiem dla wielu ludzi
nazwa ta właściwie nic nie oznacza; myślą sobie Vukovar z Vinkovcami, z Viroviticą, nawet z
Bjelovarem, a jeśli już potrafią odnaleźć go na mapie, nie umieją powiedzieć o nim nic bliż-
szego. Więc kiedy natkną się jeszcze na kogoś, kto na domiar złego urodził się w Vukovarze,
wydaje im się, że mają do czynienia z osobą, której się w życiu nie poszczęściło. Tak jakby
mówili: „Zatem Vukovar, cóż zrobić, nikt w końcu nie jest doskonały”.

Potem powoli, powolutku zacząłem dostrzegać, że taki stan rzeczy ma również pewne
zalety. Skoro o Vukovarze nikt nic nie wie (a ci, którzy przypadkowo tam zawitają, nigdy nie
szczędzą potem pochwał jako to jest piękny i interesujący), w takim razie można opowiadać
o tym mieście, co tylko komu przyjdzie do głowy. Dlatego też i opowiadałem: kiedy zostałem
pisarzem, otworzyła się przede mną możliwość uczynienia z Vukovaru miejsca mitycznego,
sławienia go aż do przesady, przy czym nikt nie mógł sprawdzić co z tego jest wymyślone, a
co zgodne z prawdą. Było to dobre i dla Vukovaru, i dla mojego lokalnego patriotyzmu, inna
sprawa, w jakiej mierze było to dobre dla literatury. W każdym razie zawsze wydawało mi się,
że kiedy wykorzystam już wszystkie swoje pomysły i wyczerpię całą zdolność przekonywa-
nia i sugestijności, rodzinne miasto pozostanie mi jako temat literacki i rezerwowe źródło
cudowności; zawsze mogłem sobie przypomnieć coś vukovarskiego, o czym nigdy nikt nie
słyszał i co mogłem do woli rozpracowywać.

Bowiem, kiedy opowiada się o Vukovarze, nawet gdy opowiada się samym mieszkańcom
Vukovaru, to jest tak, jakby mówiło się o czymś ukrytym, zaginionym, co dopiero należałoby
odkryć. Jego wartości, które niegdyś były żywe i zauważalne — kryją się niejako pod pokładami
codzienności, anonimowości i prowincjonalnej nudy. Tak jakby ktoś na podstawie tych
kilku skorup, które wydobyto z Vučedola¹, zaczął snuć opowieści o życiu mieszkańców z
okresu neolitu. Dlatego nic dziwnego, że ci, którzy niegdyś słyszeli o Vukovarze, wiedzą
właściwie tylko coś o samym Vučedolu; istnieje bowiem jakieś głębokie podobieństwo po-
między wyobrażeniem Vukovaru i tego wykopaliska archeologicznego.

Vučedol wygląda dzisiaj całkiem zwyczajnie; lejkowata dolina nad zielonym Dunajem, pola
kukurydzy, winnice, kolorowe lasy po drugiej stronie. A na dole, pod nogami aż roi się od
ceramiki, kamiennych siekier, naczyń obrzędowych, licznych świadectw życia w tej osadzie,
którą archeolodzy nazywają Paryżem neolitu. Tak samo jest z Vukovarem: za jego nazwą,
która jest tak podobna do innych nazw, za oznaczeniem na mapie, które pozornie tylko wska-
zuje miejsce, gdzie znajduje się jeszcze jedno prowincjonalne miasteczko, kryją się cuda.
Kryją się dowody niezwykłego, malowniczego i symbolicznego życia, z którego można cze-
goś się nauczyć, skrywającego w sobie głębszy ludzki sens. Trzeba tylko odkopywać: lite-
racko, historiograficznie, etnologicznie lub po prostu turystycznie: takie wykopaliska w Vuko-
varze zawsze się opłaca.

Ja też kopałem, kopałem, ile tylko mogłem i na ile potrafiłem. Nie zawsze wystarczająco
głęboko, nie dość uważnie i systematycznie. Zdarzało się i mnie samemu uwierzyć, że w
Vukovarze nie ma niczego szczególnego i że akcje tych opowiadań, które wymyśliłem, mogą
się dziać także gdzieś indziej. Tylko niekiedy zadumałem się nieco i trochę się gryzłem z tej
przyczyny: wyglądało na to, że ludziom najbardziej podobają się te moje opowiadania, które
są najbardziej vukovarskie, te, w których odwoływałem się do spraw tak bardzo lokalnych, że
wydawało mi się, że rozumieją je tylko mieszkańcy Vukovaru; za każdym razem okazywało
się, że te opowiadania są najbardziej uniwersalne. Wtedy zawsze od nowa obiecywałem
sobie, że będę kopał dalej, jeśli nie z jakiegoś innego powodu, to choćby dlatego, by sobie
wytłumaczyć, co też takiego szczególnego kryje się w Vukovarze.

Ale wtedy bieg wydarzeń uprzedził mnie i trudno już będzie kiedykolwiek doprowadzić do
końca moje poszukiwania archeologiczne. Wydarzenia, które nastąpiły, zaczęły niszczyć
Vukovar, nie tylko fizycznie, ale także duchowo: jego szczególna natura znalazła okazję, by
dać o sobie znać i wszystkim się objawić. Wydarzenia te wyniosły na światło dzienne niektó-
re z wartości miasta, kryjące się czy to w pejzażu, w historii, czy w ludziach. Vukovar znalazł
się w centrum uwagi i jego tajemniczość stała się dostrzegalna dla wszystkich. Teraz wszy-
scy wiedzą, gdzie jest Vukovar i często o nim myślą.

Odczuli oni potrzebę, by wszystko to sobie wyjaśnić i dlatego przypomnieli sobie o mnie i
o moim pochodzeniu. Dlatego pytają mnie i chcą, bym im powiedział, jakie to miasto i jak
możliwe jest to, co dzieje się z nim dzisiaj. A ja, oczywiście, nie potrafię tego wytłumaczyć, po
prostu dlatego, że sam już nic nie wiem: często myślałem, że muszę odkryć, w czym tkwi
wyjątkowość mojego rodzinnego miasta, ale zawsze uważałem, że mam jeszcze na to czas,
że to może zadanie na całe życie. Zdawało mi się jedynie, że wiem, jaka jest przyczyna tego
poszukiwania: Vukovar jest bowiem tym w Chorwacji, czym Chorwacja w świecie: nieznaną
wartością, którą dopiero należy wydobyć na światło dzienne.

I w ten sposób dzisiaj znowu czuję się zażenowany, gdy pytają mnie, gdzie się urodziłem:
przedtem obawiałem się, że odpowiedź będzie kłopotliwa dla innych, bo nic nie wiedzą o
moim rodzinnym mieście; teraz jest to kłopotliwe dla mnie, ponieważ to ja nie wiem o Vuko-
varze tyle, ile powinienem.

Ruchomy album

W Vukovarze źle ma się sprawa z widokówkami.

Ilekoć się tu zatrzymywałem i chciałem do kogoś napisać, a przy okazji trochę się
pochwalić, jak mi tu dobrze, zawsze znajdowałem się w kłopotliwej sytuacji. Byłem całkiem
świadom, że te fotografie Vukovaru, które istnieją, nie dadzą nikomu najbardziej nawet mgli-
stego pojęcia o tym, jakie jest to miasto. Siadałem wtedy nad tymi widokówkami i łamałem
sobie głowę, co tu począć.

Wydawało mi się, że na fotografiach nie zostało uchwycone to, co najważniejsze: zawsze
pozostawało coś piękniejszego, coś bardziej charakterystycznego lub bardziej interesujące-
go i zwykle pojawiała się pokusa, by posłać przyjacielowi wszystkie trzy widokówki, bo też
tyle ich zazwyczaj było pod ręką. Ale nawet i to nic by nie pomogło, gdyż nie byłem zadowo-
lony także i z tego, co można było zobaczyć na tych trzech widokówkach; zawsze mi się
wydawało, że zdjęcia jakby wypaczają rzeczywistość i dają złe o niej wyobrażenie: główna
ulica wydawała mi się zbyt wąska, Dunaj na kolorowych fotografiach był zbyt niebieski, kopu-
ły wyglądały na mniejsze i nie tak dostojne, jak to powinno być. Niemal się obawiałem, że
przyniosą wstyd mojemu miastu, jeśli wyślę w świat taki jego obraz.

Dlatego zwykle starałem się najlepiej, jak tylko potrafiłem: trzymałem się, by na widokówce
zmieścić jakiś dobry tekst, który uzupełni to, czego nie udało się przekazać fotografii. Za-
miast przesłać jedynie serdeczne pozdrowienia, jak to się zazwyczaj czyni, na niewielkiej
ilości miejsca na odwrocie kartki umieszczałem opis naddunajskiego krajobrazu, przywoły-
wałem jakąś anegdotę, dodawałem kilka słów pochwały, wszystko po to, by słowami zastąpić
to, czego nie było na zdjęciu.

Z upływem czasu zrozumiałem, że nie jest to wina ani fotografów, ani wydawców tych
widokówek: oni starali się, jak tylko mogli, często wykonywali swoją pracę bardzo rzetelnie,
ale wszystko to było bezwartościowe i nic nie dawało. Nie jest to bowiem ani kwestia facho-
wości i techniki, czy nawet sztuki. Chodzi o to, że Vukovar nie da się dobrze i wiernie
sfotografować. Przekonały mnie o tym dobitnie różne inne obrazy, na których pojawia się
moje miasto: fotografie, filmy, zapisy video, nawet obrazy olejne: na wszystkich bez wyjątku
wyglądało tak, jakby coś pozostało niedopowiedziane, wydawało się, że obraz jest wypaczony,
bo Vukovar jest czymś zupełnie innym niż to, co zostało przedstawione.

Niekiedy myślałem sobie, że wina tkwi we mnie, że o swoim mieście wiem tak wiele, tak
jestem z nim związany, że tylko rzeczywistość może mnie zadowolić, a we wszystkim pozos-
tałym czegoś mi brakuje. Ale wtedy odkryłem, że tak samo myślą i inni ludzie, mieszkańcy
Vukovaru i ci przebywający tu w gościnie. Vukovaranie zawsze powiedzą, że fotografie nie
są nawet cieniem rzeczywistego stanu rzeczy, a goście, że na podstawie zdjęć zupełnie
inaczej wyobrażali sobie Vukovar i że byli mile zaskoczeni, kiedy odkryli, jaki jest naprawdę.

W ten sposób doszedłem do wniosku, że chodzi w gruncie rzeczy o to, że Vukovar ma
wiele twarzy i wszystkie one są ważne, wszystkie należą do niego, zarazem różniąc się od
siebie: dlatego zawsze się wydaje, że coś ważnego zostało pominięte. Kiedy to mówię, nie
mam na myśli żadnych obrazów symbolicznych czy poetyckich, ale rozumiem to dosłownie.
Powiedzmy, Vukovar oglądany od strony Dunaju wygląda całkiem inaczej niż od strony Vuki;
nawet wtedy, gdy na tych obrazach pojawiają się te same budowle, człowiekowi trudno jest
uwierzyć, że to ten sam krajobraz. Tak samo Stary Vukovar zupełnie różni się od Nowego,
choć jeden bez drugiego istnieć nie mogą. Gdy na Vukovar popatrzy się ze wschodu,
wygląda jak wielkie miasto, oglądany z zachodu sprawia wrażenie zapadłej dziury; z połud-
nia wydaje się być miastem na wodzie, a z północy osadą na wzgórzu. Krótko mówiąc, z
każdego punktu zdaje się być czymś innym. Stopniowo uświadamiałem sobie, że nie doty-
czy to tylko vukovarskich krajobrazów, ale także życia. Zrozumiałem, że Vukovar ma niezli-
czoną ilość twarzy, nie tylko w fizycznym, ale także i w społecznym, duchowym i historycz-
nym sensie. Im bardziej stawałem się doświadczony i im więcej wiedziałem o Vukovarze,
tym większą ilość różnych jego twarzy byłem w stanie dostrzec. Stanowiło to dowód, że moje
rodzinne miasto zasługuje na uwagę. I nawet zaczęło mi się podobać, że jego widokówki są
właśnie takie, jakie są: wydawało mi się usprawiedliwione, że miasto o tylu obliczach i kryją-
ce tyle znaczeń, nie musi być szczególnie fotogeniczne, ale że jednak wyczuwa się, że za
skromnym zdjęciem kryje się coś złożonego i ważnego. Zatem wysyłałem widokówki z Vuko-
varu nie troszcząc się szczególnie o to, jakie są, wypisywałem na nich kwieciste teksty i
byłem spokojny.

O wszystkim zacząłem myśleć dopiero niedawno, wtedy, gdy zdjęcia mojego rodzinnego
miasta zaczęły przyciągać powszechną uwagę i kiedy zorientowałem się, że obrazy te są
jeszcze jednym świadectwem tego, co niegdyś w nim istniało, ponieważ Vukovar został zbu-
rzoną. Pozostały po nim tylko widokówki i podobne do nich zdjęcia, jako jedyna gwarancja
przeszłości. Gdyż nie ma wątpliwości: pewnego dnia Vukovar powstanie od nowa właśnie na
podstawie tych widokówek, na podstawie fotografii i filmów. A przecież ja zawsze utrzymy-
wałem, że te zdjęcia nie są nawet cieniem tego, czym naprawdę jest moje miasto. I zamar-
twiałem się: wiedząc bowiem, że Vukovar nie jest tym czym jest, co widać na fotografiach,
ale właśnie tym czymś niewidzialnym, co trzeba wskrzesić, jeśli chce się, by Vukovar ponow-
nie ożył. Tak więc przez pewien czas żyłem w dużym strachu.

A wtedy przy tych fotografiach — na wystawach i jeszcze gdzie indziej — zacząłem spotykać
ludzi, którzy znają Vukovar. Wszyscy oni wskazywali palcem na zdjęcia i coś objaśniali. Słu-
chałem ich i usłyszałem coś, co przywróciło mi nadzieję: mówili nie o tym, co znajduje się na
fotografiach, ale o tym, czego na nich nie ma. Wyjaśniali swoim rozmówcom, jak można od
kościółka, widniejącego na zdjęciu dojść do Dunaju, którego nie widać; tłumaczyli dokąd pro-
wadzi ulica, przesłonięta na zdjęciu arkadami, jaki jest widok z wieży wodnej, której zaledwie
niewyraźna sylwetka rysuje się na fotografii. Robili coś podobnego do tego, co czyniłem ja
uzupełniając obraz tekstem na widokówkach wysyłanych z Vukovaru. Wtedy już wiedziałem,
że wszystko jest w porządku.

Wiedziałem, że to, co jest w Vukovarze niewypowiedziane, to, czego nie da się sfotografo-
wać, zostało w gruncie rzeczy zachowane, że jest gdzieś tutaj, w głowach tych wszystkich
ludzi, którzy znają miasto. Oni pamiętają wszystkie rozliczne twarze Vukovaru, są w stanie je
opisać i ponownie stworzyć. Tak jakby każdy z nich był odpowiedzialny za jeden widok, jedną
ulicę i jedną perspektywę, wszystko to zachowali i są gotowi o tym mówić. Dlatego wiedzia-
łem, że nie muszę się martwić, tylko muszę wybrać widok Vukovaru, który ja odnowię.

My wszyscy, którzy kiedykolwiek chodziliśmy vukovarskimi ulicami, jesteśmy właściwie
ruchomym zbiorem widokówek, a wszystko to, co mówimy — i co długo jeszcze będziemy
mówić — jest tylko przesłaniem płynącym z tych widokówek.



Ilustracja Aleksander Fraj

Ideologia zapomnienia

Vukovar w pewnej chwili utracił pamięć.

Jeśli z miastami sprawy mają się tak jak z ludźmi, nie ma w tym nic dziwnego: w takim razie i one mogą chorować. Tak też zachorował Vukovar, tylko że jego dosięgła niezwykle choroba, bo zresztą we wszystkim jest on niezwykle: ogarnęła go amnezja.

Jak dochodzi do amnezji, powszechnie wiadomo: człowiek przeżywa jakiś wstrząs fizyczny, powiedzmy wypadek drogowy albo jakiś szok psychiczny, na przykład, gdy dociera do niego jakaś straszna wiadomość. Wtedy zapomina o wszystkim, co do tej pory wiedział; ściślej mówiąc, nie o wszystkim, ale akurat o tym najważniejszym, o tym, co czyni go taką osobą, jaką jest. Coś niecoś wie, ale nie wie, skąd ta wiedza: zna obcy język, ale nie pamięta, gdzie się go nauczył, zna pomieszczenia jakiegoś budynku, ale nie pamięta, kiedy w nim był, ani co tam robił; lubi kwiat bzu i nie znosi łazanek z kapustą, ale nie wie od kiedy i dlaczego. Taki człowiek traci wtedy to, co najważniejsze: tożsamość i zarazem możliwość określenia swojego miejsca w świecie, zdefiniowania samego siebie.

Właśnie to przydarzyło się Vukovarowi. Nie odważyłbym się orzekać, jakiego to wstrząsu fizycznego, czy szoku psychicznego, doświadczył, bo też nie mam żadnych podejrzeń ani przypuszczeń. Wiem tylko, że w pewnym momencie popadł w amnezję i że zdecydowanie długo wywierała nań wpływ. Zapomnienie stało się jego sposobem życia i inny nawet nie przychodził mu do głowy. Wiem o tym, bo poznałem go w czasie, kiedy najmocniej cierpiał na tę chorobę; długo tego nie zauważałem, potrzebowałem całych lat, bym zrozumiał, co się dzieje. Wraz z nim i ja długo chorowałem na utratę pamięci, a dopiero gdy odnalazłem swoje wspomnienia, zrozumiałem, co też się dzieje z moim rodzinnym miastem.

Pamiętam na przykład, że przeżyłem tam jakieś piętnaście-szesnaście lat zanim dowiedziałem się, że w Vukovarze urodził się pierwszy laureat Nagrody Nobla na tych terenach, chemik Lavoslav Ružička. Nie tylko ja nie miałem o nim pojęcia, ale całe moje rodzinne miasto zdołało tego swojego syna tak gruntownie zapomnieć, że nie pozostał po nim najmniejszy ślad. A kiedy Ružička pod koniec życia zdecydował się odwiedzić rodzinne okolice, wtedy Vukovar w nagłym porwywie odzyskanej pamięci – przytwierdzał pamiątkową tablicę na rodzinnym domu uczonemu w noc poprzedzającą jego przyjazd, tak że noblista mógł rannym zobaczyć świeży tynk, który niemal spadał mu na głowę.

Podobnie zapomniał Vukovar o Nikoli Andriću, tłumaczu, kierowniku Chorwackiego Teatru Narodowego i założycielu legendarnej Zabawnej Biblioteki. Istniała rzeczywistość w Vukovarze ulica Andrića, ale wszyscy myśleli, że chodzi o Ivo Andrića. Było też jakieś jego popiersie w narożniku małego parku, ale ktoś je przewrócił i miesiącami leżało w trawie, by potem zupełnie zniknąć. Przypomnienie o prawdziwej tożsamości miasta nie pojawiło się nawet z opóźnieniem.

Tak, jak nie pojawiło się też w wypadku *Doriana Graya* Wilde'a: dopiero jako student, w Zagrzebiu dowiedziałem się, że w latach dwudziestych dwa wydania tej powieści ukazały się właśnie w Vukovarze. W zapomnienie poszła „Gazeta Sremska”, zapomniany został Vladimir Filakovac, który urodził się w Vukovarze, i Marian Detoni, wykładowca rysunku w vukovarskim gimnazjum, zapomniano o legendarnym chórze i o tylu innych sprawach i ludziach, tak, jakby nigdy nie istnieli.

Zapomniane zostało także i to, co mogliby pamiętać ci wszyscy ludzie, którzy jeszcze i dzisiaj żyją w Vukovarze. Nikt na przykład już nie pamięta, jak vukovarski teatr amatorski zaraz po wojnie grał repertuar, którym mogłyby się poszczycić znacznie poważniejsze zespoły: Krležę, Gogola, Moliera; nikt też nie pamięta, jak dobre to były przedstawienia i w jaką uroczystość przeradzała się każda premiera. Zapomniane zostało, jak Vukovar dążył do czegoś wyższego i lepszego, jak właśnie to dążenie czyniło go tym, czym był.

W ten sposób miasto utraciło to, co najdroższe, tak jak człowiek, który cierpi na amnezję: swoją tożsamość. Taki człowiek, jeśli długo nie odzyskuje pamięci, nie może zrobić nic innego, jak tylko ponownie zbudować swoją osobowość. Z tego, co znajdzie pod ręką, z tego, co mówi otoczenie i z tego, co sam wnioskuje, próbuje stworzyć coś, dzięki czemu znów stanie się ludzkim stworzeniem. Również i to czynił Vukovar: zapomniawszy o tym, czym był, stał się czymś innym. Budował swą tożsamość z tego, co przypadkiem znalazło się w jego zasięgu: z pięknych krajobrazów, ze świniobicia i rybnego paprykarza, z nowo skomponowanych pieśni ludowych i wszelakich innych bezsensownych rzeczy. Najważniejszą rolę zaczęli w nim odgrywać ludzie, którzy nie mieli historii, tak że zapomnienie stało się jakimś rodzajem ideologii. Tak to Vukovar coraz głębiej popadał w amnezję.

Ale utrata pamięci rzadko kiedy jest ostateczna. Przeszłość takiej osoby objawia się od czasu do czasu w krótkich, niekiedy bolesnych przeblaskach, które wskazują na różnicę pomiędzy przeszłością i teraźniejszością. Gdzieś głęboko pod warstwą świadomości kryje się ta stara, prawdziwa osobowość, która wyrwa się i walczy, by wydostać się na powierzchnię. Właśnie tak jak w Vukovarze, istnieli też ludzie, którzy pamiętali, którzy byli pewni, że prawdziwa natura Vukovaru tkwi gdzieś indziej; nikt nie chciał ich słuchać, ale oni tu byli i niekiedy pobudzali martwą pamięć, nie pozwalali swojemu miastu całkiem się zagubić. Ale było ich niewielu i nie słyszeli się nawzajem. Prawdziwy charakter miasta nie mógł wydobyć się na powierzchnię.

U osób cierpiących na utratę pamięci, wspomnienia wracają w ten sam sposób, w jaki znikły: z powodu wstrząsu fizycznego lub szoku psychicznego. Naraz chory przypomina sobie wszystko, natychmiast wie, gdzie przynależy; nawet jeśli nie może sobie przypomnieć wszystkich szczegółów, wie to najważniejsze: wie, kim jest. Właśnie to stało się z Vukovarem. Przyszedł wstrząs, przyszedł szok i naraz przypomniał sobie o swej tożsamości.

Nie może, co prawda, przypomnieć sobie dokładnie wszystkiego, co tę tożsamość tworzy, ciągle jeszcze nie pamięta Ružički ani Andrića, ani tych wielkich amatorów teatralnych. Ale nagle stało się dla niego jasne, czym naprawdę jest i gdzie przynależy. I nie tylko to, rozumiał też, że swej tożsamości musi bronić i że to ona najbardziej zasługuje na walkę, że dla niej trzeba poświęcić wszystko.

I w chwili, kiedy o tym sobie przypominał, wygrał swą największą bitwę.

Przełożyła Magdalena Dyras

¹ Vučedol – miejsce wykopalisk archeologicznych w okolicach Vukovaru.

7 vukovarskich razglednica (Siedem widokówek vukovarskich) ukazało się w 1991 roku w czasopiśmie „Večernji list”. Pavličić usiłuje „zebrać myśli” i wyrazić w tej formie swoje refleksje po zburzeniu miasta. Później dołączono ten tekst do wznowienia powieści *Dunaj* jako swoiste postscriptum.

W obliczu Pyrrusowego zwycięstwa...

CIĄG DALSZY ZE STR. 8

widziane, trudne do zaakceptowania przez większość swych czytelników. Przelamują – bardzo różnymi sposobami, sięgając po rozmaite strategie i poetyki, monolityczny – zideologizowany obraz własnej kultury. Odwołują się do indywidualnej wrażliwości i zmysłu moralnego jednostek, metodycznie przekształcających w zhomogenizowaną masę. Do pojedynczych ludzi, sprowadzanych przez literacką i medialną propagandę do jednej, ściśle określonej roli społecznej: do roli „patrioty”, „bojownika o narodową sprawę”, „ofiary bestialskiej agresji i planowej eksterminacji”. Głoszą prawdy niepopulane, ponownie racjonalizując to, co urosło do roli zmitologizowanych aksjomatów, ironizując i wykpiwając propagandowo usankcjonowane „narodowe świętości”.

Antropologiczna refleksja eseistów-naukowców poddaje racjonalnej analizie psychologiczne i społeczne podłoże wydarzeń ostatniego dziesięciolecia. Ludyczny, przynajmniej powierzchownie, kształt postmodernistycznej prozy pobudza do refleksji nad rzeczywistym statusem i wzajemnymi relacjami światów fikcyjnych i rzeczywistych. Nostalgiczne peregrynacje po bezpowrotnie minionych, barbarzyńsko unicestwionych światach dzieciństwa i młodości nadają osobowy wymiar przeżyciom „historycznych zdarzeń” i „epokowych przemian”. W każdym wypadku – to poszczególny człowiek, „oddzielny” od zbiorowości, która próbuje go bez reszty zawłaszczyć i uczynić swoim bezwolnym narzędziem, staje się centrum literackiego świata. To właśnie on, i tylko on, ponosi osobistą odpowiedzialność za społeczne skutki własnych wyborów. Literatura pragnie przywrócić osobie, jednostce, świadomości własnej podmiotowości. Nie dokonuje jednak patetycznego „rachunku sumienia”, odżegnuje się od swych tradycyjnych, moralistycznych korzeni. Żyje w poczuciu własnej bezsilności, trwa na straconej pozycji, zastępując patos etycznego apelu groteskową autoironią, szyderczą (auto)analizą, precyzyjnym opisem absurdów „zliteraryzowanej” rzeczywistości.

Można by tę refleksję nazwać poszukiwaniem tożsamości alternatywnej; kolejną próbą wyrwania się z sieci anachronicznych mitów, w których uwięziła społeczną świadomość najzupełniej nowoczesna propaganda. To pisarstwo realizuje w jakiejś mierze archetypowy obraz walki Dawida z Goliatem. Czy ostateczny finał tej walki będzie kolejnym ponowieniem fabuły i sensu biblijnej parabeli? Czy siła tych najbardziej bezsilnych – słowo świadome własnej słabości, słowo wątpliwe i wątpliwością poddane, okaże się w końcu bardziej skuteczne od słów i obrazów odzianych w pancerz niepodważalnej słuszności?

Wysłuchajmy się w te głosy zwątpienia i rozumu, szyderstwa i smutku, sprzeciwu i nadziei. Głosy, przywracające wiarę w to, że – wbrew wszystkiemu – słowo „naukowe” i „postmodernistyczne”, racjonalne i nostalgiczne nie przestaje być największą, najbardziej skuteczną – być może, w ostateczności zwycięską – „siłą bezsilnych”.

Maria Dąbrowska-Partyka

¹ D. Jančar, *Wspomnienie o Jugosławii* (w.): tenże, *Eseje*, tłum. J. Pomorska, Sejny 1999, s. 30-31

² Zob. N. Popov, *Serbski dramat. Od faszystowskiego populizmu do Miloševića*, tłum. M. Książek, Warszawa 1994

³ Zob. D. Ugrešić, *Kultura kłamstwa*, tłum. D.J. Cirilic, Wrocław 1998

Wojna języków

CIĄG DALSZY ZE STR. 11

jaw chorwackiego nacjonalizmu, a środowisko naukowe, z którego wyszła, zostało poddane represjom.

W tym ostatnim, najdłuższym, czterdziestoletnim okresie funkcjonowania serbsko-chorwackiego w restrykcyjnym klimacie unifikacyjnym nie osiągnięto jego jedności. Jak mówiono, serbski i chorwacki standard językowy był jednoczony, ale nie zjednoczony, względnie, że był to język ten sam, ale nie taki sam.

Oficjalnie zaś nadal obowiązywała koncepcja jednego i jednorodnego języka, czego dowodem miała być wspólna geneza. Istniejące różnice gramatyczne i leksykalne interpretowano jako „odmianki” względnie „warianty” leksykalno-stylistyczne traktując je jako pozytywny element wzbogacający wspólny język.

PO ROZPADZIE

Wszystkie operacje dokonywane na żywym organizmie językowym dotyczyły i narodu nim mówiącego. Jest więc faktem oczywistym, że w nowej od 1991 r. sytuacji politycznej, niedawni członkowie państwa federalnego nadali dotychczasowym „wariantom” języka serbsko-chorwackiego własne etniczne nazwy. Kryterium wyłącznie lingwistyczne przestało być wystarczające. Język nie jest bowiem tylko zbiorem cech gramatycznych. O tym, że język serbsko-chorwacki przestał istnieć, zadecydowały czynniki natury pozalingwistycznej. Wspólny system językowy istnieje nadal w obu językach, toteż w dalszym ciągu będą się wzajemnie rozumieć i Serbowie, i Chorwaci. A jak długo? O tym zadecyduje dalszy rozwój ich języków. Obecnie w językoznawstwie chorwackim trwa zarówno „naprawianie szkód minionego okresu” jak i dyskusje na temat jego przyszłego kształtu. W ramach pierwszej działalności pojawiają się prace będące korekturami dotychczasowych poglądów na język chorwacki (np. jego definicję i historię) jak i opracowania tematów znajdujących się dotychczas na indeksie (np. język chorwacki w Niezależnym Państwie Chorwackim). W drugiej natomiast dziedzinie można zaobserwować dwie tendencje: mniej popularną, purystyczną propagującą szybkie i konsekwentne oczyszczenie języka z serbizmów oraz drugą – bardziej tolerancyjną, opowiadającą się za kontynuacją oraz naturalną ewolucją odziedziczonej chorwackiej normy językowej bez zbytejnej zewnętrznej ingerencji.

W Bośni

– kraju o niezwykle skomplikowanych stosunkach politycznych, kulturowych, etnicznych i religijnych, z bezprecedensową narodowością muzułmańską opartą wyłącznie o kryterium wyznaniowe wojna zmieniła także sytuację językową. Na mocy układu z Dayton, 21 XI 1995 r. kolejny wariant języka serbsko-chorwackiego stał się samodzielnym językiem państwowym. Nazwa język bośniacki (*bosanski*) sugeruje, że jest to język wszystkich obywateli zamieszkujących federalną Republikę Bośni i Hercegowiny. Dlatego przeciw tej nazwie zaprotestowali bośniackohercegowińscy Chorwaci i Serbowie twierdząc, że nowo powstały język jest językiem jedynie części społeczeństwa bośniackiego, a mianowicie – bośniackich muzułmanów, tzw. boszniaków, powinien więc nosić nazwę *boszniacki* (*bošnjački*). Natomiast żyjący tu Serbowie i Chorwaci nie utożsamiają nowo powstałego języka z tym, którym się sami posługują. Na czym polega językowy problem bośniacki? Otóż, przed I wojną światową literacki język w Bośni był bliższy językowi chorwackiemu („wariantowi zagrzebskiemu”). W okresie międzywojennym zaczęły przenikać do niego cechy języka serbskiego. Do rozpadu Jugosławii sztokawszczyznę bośniacką definiowano jako neutralizację wariantu serbskiego i chorwackiego, co oznacza, że cechy obu tych wariantów były traktowane jako oboczne i równorzędne. Tak więc *chleb* można było nazywać zarówno po serbsku *hleb* jak i po chorwacku *kruh*. „Wariant bośniacki” miał także swoje oryginalne cechy odróżniające go od serbskiego i chorwackiego, np. fonetyczne, ale przede wszystkim niesłychanie bogate słownictwo pochodzenia tureckiego. Nowy język bośniacki będący *in statu nascendi* w pewnym stopniu kontynuuje oczywiście dawną normę, jednak jego użyteczność – bośniaccy muzułmanie – pragną, aby dobitnie odzwierciedlał on ich narodową i kulturową odrębność. Stąd też kładą szczególny nacisk na te elementy językowe, które spełniają te oczekiwania. Najwyraźniej jest to widoczne w preferowaniu słownictwa pochodzenia orientального a nawet w przyjmowaniu całych fraz obcojęzycznych, najczęściej religijnych, np. *Allah selamet* „Bóg zbawił”, czy *selam aleikum* – pozdrowienie używane nawet w telewizji, czy występujący na klepsydrach tytuł człowieka, który zginął za wiarę *šehit-martir*. Wydano już słownik bośniacki, zasady ortografii i kilka prac, na

podstawie których można przypuszczać, w jakim kierunku będzie zmierzała standaryzacja nowego języka południowosłowiańskiego.

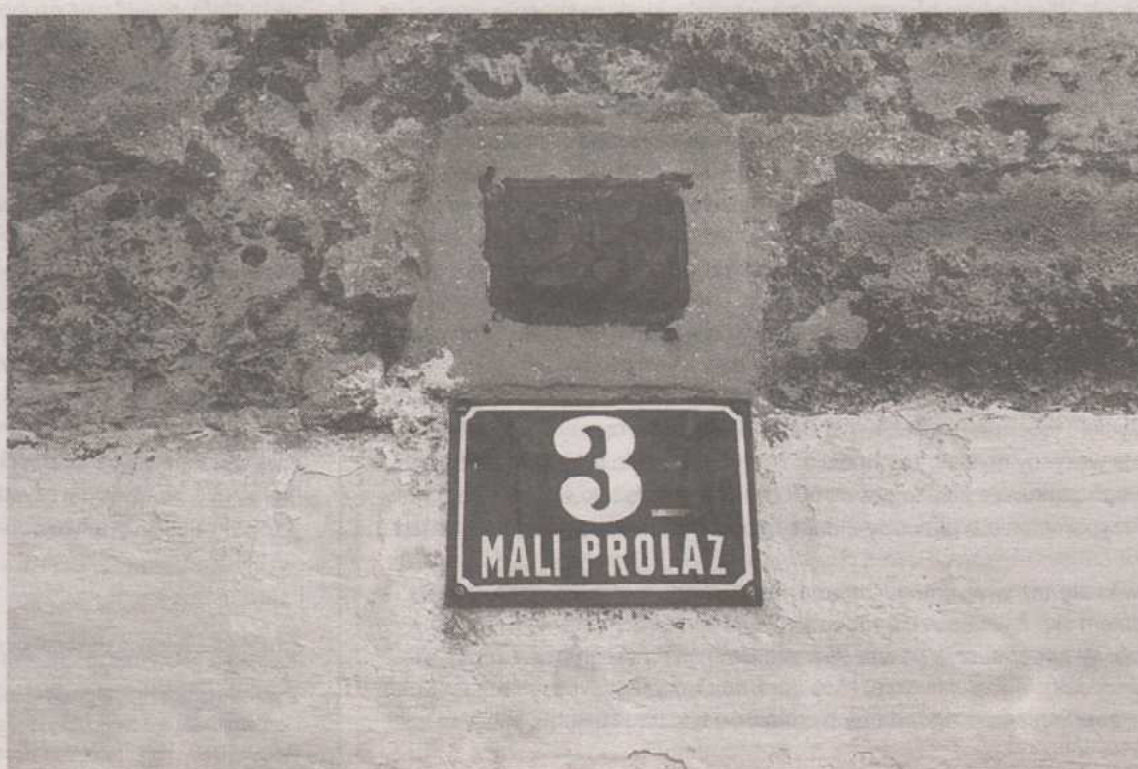
W Czarnogórze

Czarnogóra wraz z Serbią tworzy obecnie nową, historycznie trzecią już Jugosławię. Tutaj także kiedyś zaakceptowano językową reformę Vuka Karadžicia. W byłej Jugosławii czarnogórską sztokawszczyznę uważano za odmianę serbskiego (wersję ijekawską). Obecnie, zgodnie z konstytucją Republiki Jugosławii z 1992 r. urzędowym językiem Czarnogóry jest język serbski w obu wymowach (ijekawskiej i ekawskiej) z głównym alfabetem cyrylicą i pomocniczym łacińskim. Zapis ten wywołał gwałtowny sprzeciw, odczytano go bowiem jako polityczną i kulturalną dyskryminację narodu czarnogórskiego, a nawet negowanie jego bytu, tym bardziej, że w nauce jugosłowiańskiej istnieje pogląd, że Czarnogórcy to jedynie część narodu serbskiego. Rozpoczęła się walka o język czarnogórski, a w zasadzie jej kontynuacja, gdyż serbsko-czarnogórskie spory wywołane proserbską językową polityką państwa sięgają lat sześćdziesiątych. Organizacjami walczącymi o uznanie na forum międzynarodowym języka czarnogórskiego są przede wszystkim Czarnogórski PEN Club i Macierz Czarnogórska. Powstaje więc pytanie, jaki miałby być ten przyszły język. Trwa dyskusja pomiędzy zwolennikami dotychczasowej normy „serbsko-chorwackiej” a propagatorami czarnogórskiej. Ci drudzy uważają, że obecny system językowy (sztokawski) powinien być wzbogacony przez tzw. „czarnogórzszczyznę”, wywodzącą się z dialektu występującego jedynie na terenie Czarnogóry, i co prawda również sztokawskiego, ale posiadającego szereg odmiennych cech (występują w nim np. spółgłoski *š, ž, dz*, których brak w serbskim, chorwackim i bośniackim). Tym samym postulują oni powrót do własnej, narodowej tradycji piśmienniczej, sprzed reformy Vuka, kiedy to właśnie ten dialekt czarnogórski (obok cerkiewszczyzny) był ich językiem literackim.

Problem nieistniejącego już języka serbsko-chorwackiego polegał na tym, że oparty na tym samym dialekcie, miał w zasadzie ten sam system gramatyczny, ale każdy naród, u którego pełnił funkcję literacką przydawał mu inną „nadbudowę”, ponieważ każdy z nich miał inną historię, kulturę, cywilizację, religię czy literaturę. Dlatego też jeden abstrakcyjny system miał cztery różne konkretne językowe, literackie realizacje. Przez prawie sto lat sztucznie jednoczone, w nowej sytuacji politycznej mogły wreszcie przyjąć nazwy swoich narodów.

Barbara Oczkowska

CHORWACJA, 1998



Fotografia Grażyna Borowik

Julian Kornhauser **Małe literatury a świadomość narodowa**

Interesując się od lat tzw. małymi literaturami słowiańskimi, zwłaszcza z regionu bałkańskiego, stykałem się wielokrotnie z problemem świadomości narodowej zarówno na płaszczyźnie strategii pisarskiej, jak i socjologicznej.

To oczywiste, że kultura w obrębie małego narodu, którego głównym egzystencjalnym modelem aktywności było w przeszłości wybijanie się na niepodległość, rodziła się z potrzeby zmanifestowania swojej narodowej, zewsząd zagrożonej, odrębności. Można wręcz powiedzieć, a pisałem o tym w jednym ze swoich szkiców, że zagrożenie i to różnego rodzaju: polityczne, ale i ze strony języka zaborców i sąsiadów, stało się dla tych literatur nie tylko naczelnym tematem rozważań (np. utwory antytureckie, antywęgierskie, antyaustriackie, a jednocześnie prorosyjskie czy proaustriackie), ale także, a może przede wszystkim oryginalnym modelem artystycznym.

Czym jest świadomość narodowa w tej kulturze? Raczej zespołem określonych leków przed niezrozumieniem własnej odrębności niż systemem wyraźnych sposobów kształtowania, tj. kreowania kolejnych etapów zbiorowego działania; raczej kultywowaniem tradycji, często bez poczucia historycznego anachronizmu takiej sytuacji, niż wyciąganiem wniosków z porażek przeszłości. Model budzielski (budzenie zagrożonych sumień) czy odrodzenia narodowego w XIX wieku wyrastał z prawie nigdy nie odrzuconego wzorca patriotycznego w sferze światopoglądowej i folklorystycznego – w sferze estetycznej. Co widać także teraz pod koniec naszego stulecia. W tym modelu kultury brak samodzielności politycznej przy jednoczesnym powolnym budowaniu życia narodowego sprowadzał często wszelką działalność artystyczną do przypominania o kodeksie odwiecznych, niezbywalnych praw obywatela-patrioty, o tradycyjnych obowiązkach, od którego ostentacyjne odejście narażało natychmiast artystów na zarzut jeśli nie zdrady narodowej, to w najlepszym razie renegactwa.

Narodowa więc świadomość, kojarzona niejednokrotnie z nacjonalistyczną euforią, kultem świętych i niezwykłych herosów, klerująca wzrok zawsze w stronę odległej, mitycznej i wielkiej przeszłości, kształtowała w małych literaturach południowsłowiańskich historyczne niemal poczucie własnej „lepszości” wobec pozostałych sąsiadów, a także bardzo funkcjonalną opozycję między Wschodem i Zachodem. Dla jednych literatur, np. słoweńskiej i chorwackiej orientacja europejska powstawała jednocześnie z programem antybałkańskim, dla innych z kolei, np. serbskiej, bułgarskiej, macedońskiej orientacja antyeuropejska, widoczna chociażby w kreacji ponadbałkańskiego barbarzyńcy, Nowego Człowieka, przeciwstawiającego się upadającemu Zachodowi, rodziła natychmiast ideologię próbbałkańską. Oczywiście, opozycja ta ma swoje źródło religijne, ale przecież nie tylko. Wynika także z odmiennych w każdej kulturze wpływów, innych losów historycznych, innej obrotu tradycji, która nie wszędzie ma tak trwałe i stabilne fundamenty jak np. w kulturze serbskiej.

Świadomość narodowa mniejszych literatur słowiańskich nie jest budowana, jak w polskiej czy rosyjskiej, z poszukiwania korzeni, rodowodu, sakralizowania małych ojczyzn czy z opozycji centrum i peryferii, lecz z jaskrawej regionalizacji, widocznej w obronie z trudem wywalczonych języka literackiego, w stanowieniu licznych granic między mniejszymi ośrodkami, niedopuszczaniu obcych wpływów czy wręcz kulcie rodzimości jako tarczy przeciw wszelkim przybyszom, nie tolerowanym, ignorowanym i bezwzględnie niszczonej zgodnie z ideą etnicznej czystości.

Dla pisarza, reprezentanta takiej literatury ważnym elementem strategii jest myślenie antagonistyczne, stawianie się w opozycji do innych regionów, w mniejszym zaś stopniu jest nim akcentowanie oryginalności, indywidualizacja aktu twórczego, rozpatrywanie wyłącznie w kategoriach estetycznych. Badanie opisywanych zjawisk, wchodzących w skład tak zregionalizowanych literatur następuje polskiemu, ale przecież nie tylko polskiemu badaczowi sporo kłopotów. Dlaczego, z jakiego powodu? Wydaje się, że przyczyna leży w różnicy poglądów na zagadnienie świadomości narodowej jako czynnika kulturotwórczego, zwłaszcza w czasach nam współczesnych. Jak badacz, będący przedstawicielem kultury w miarę ustabilizowanej i nie opartej na wspomnianym modelu zagrożenia powinien zachować się wobec kultury małego narodu słowiańskiego, całkowicie w tym modelu zanurzonego? Dwie wykluczające się metody opisu: obiektywna, polegająca na zwykłym relacjonowaniu i porządkowaniu zjawisk oraz subiektywna, sięgająca po takie środki jak wartościowanie czy porównawcza interpreta-

cja, umieszczająca je w szerszym, powiedzmy, europejskim kontekście, wydają się mało przekonujące, bo nie docierają do sedna zagadnień.

O ich istocie pisał przed laty Jan Wierzbicki, trafnie nazywając omawiane literatury socjologicznie nacechowanymi, tzn. takimi, w których ważniejszy od samych utworów, od pojedynczych działań artystycznych jest kontekst związany z sytuacją danej kultury, z wpisanymi w nią systemami komunikacyjnymi, ze społecznym statusem istnienia literatur. Jednym z ich najważniejszych znaków jest sytuacja pogranicza, idealna ojczyzna – jak mówi Maria Dąbrowska-Partyka – człowieka wielu ideologii, charakteryzująca się nieokreślonością przestrzeni i osmozą oraz konfliktem wielkich i mniejszych uniwersów kulturowych¹, a także kompleks braku rodzimej tradycji literackiej, który rodzi – jak zauważył Aleksander Naumow – potrzebę przyjmowania tradycji obcej jako substytutu własnej².

Zgadzam się z taką opcją, choć mam wątpliwości, czy podkreślanie znaczenia mechanizmów, rządzących rozwojem literatury nie zubaża naszej wiedzy o indywidualnych decyzjach pisarzy, ich sposobie odczuwania świata bez względu na historyczne uwarunkowania czy zewnętrzne okoliczności. Powrócę więc do poprzedniej myśli: jaka metoda byłaby najodpowiedniejsza dla tego, kto patrzy na tamte literatury z innej zupełnie perspektywy? Coraz częściej przekonuję się do takiego sposobu „czytania” tamtej sytuacji, który bierze pod uwagę zarówno kontekst ogólnosłowiański, a w jego obrębie podobne zjawiska kulturowe, jak i mój własny polski punkt widzenia.

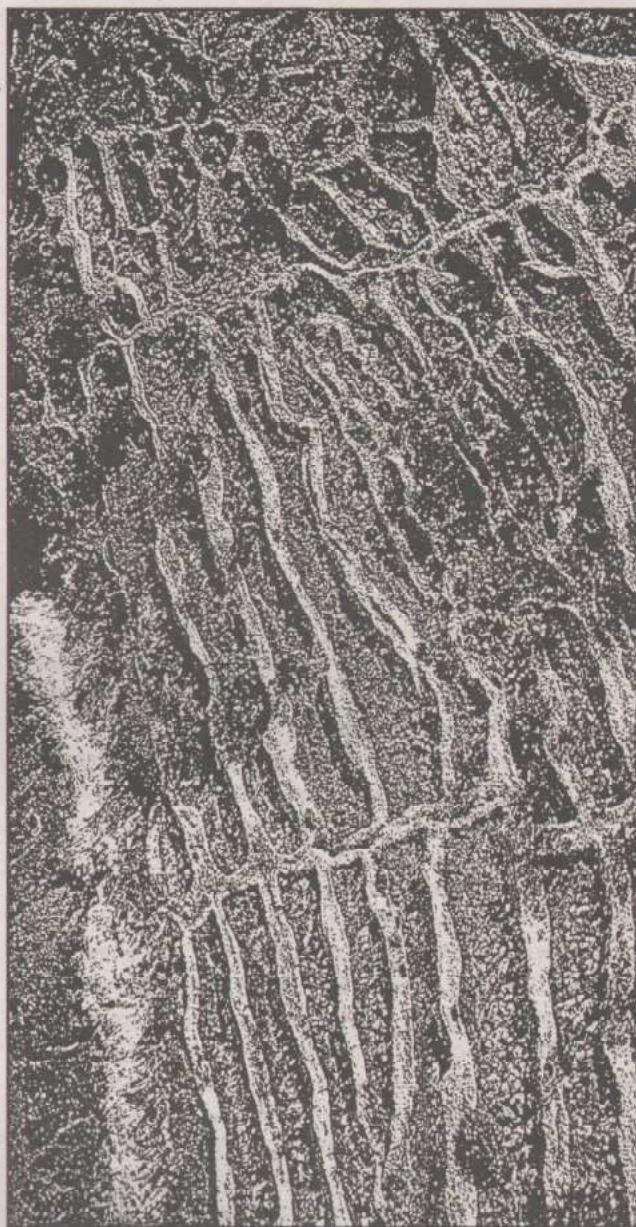
Wiedząc o dominującej roli świadomości narodowej w mniejszych literaturach słowiańskich, a jednocześnie będąc sam pełen rezerwy w stosunku do wszelkich wynurzeń i programów o charakterze nacjonalistycznym, które uznają za przejaw złego uczestnictwa w świecie, traktuję ten problem nieco z góry, być może narażając się na zarzut arbitralnej hierarchii zjawisk.

Nic też dziwnego, że tak często, właściwie coraz częściej uciekam w stronę literatury polskiej, gdzie takie zagadnienie jeśli w ogóle współcześnie występuje, to przecież nie zostaje sprowadzone do powierzchownej reakcji na zagrożenia. Wystarczy porównać utwory powstałe w czasie wojny w obu przestrzeniach kultury, aby wysnuć wniosek o zupełnie innym stosunku do historii. W literaturach bałkańskich wojna jako temat i czynnik budzenia świadomości jest częścią ideologii, w polskiej natomiast nawet literatura martyrologiczna ma przede wszystkim wymiar egzystencjalny czy etyczny (proszę porównać np. jugosłowiańskie powieści partyzantkie z poezją pokolenia Baczyńskiego).

Świadomość narodowa pisarza, wywodzącego się z małej literatury słowiańskiej, skonfrontowana z utajoną do pewnego stopnia, pozbawioną krzykliwej manifestacji świadomością badacza, musi prowadzić do niespodziewanego konfliktu.

Konflikt ten polega na odrzuceniu tamtego zaplecza ideologicznego oraz deprecjacji przesłania artystycznego i wydobyciu, choć niejawnie, za pomocą odpowiedniego uszeregowania faktów, indywidualnego punktu widzenia. Nic też dziwnego, że czuję się lepiej jako obserwator polskiej literatury niż interpretator literatur bałkańskich, choć ciekawia mnie one w równym stopniu. Tak, w równym stopniu, ale z innych powodów: w literaturze polskiej szukam zaskoczeń artystycznych, w bałkańskich – socjologicznych. Jednak zdaję sobie sprawę z tego, że mechanizm działania małych literatur słowiańskich został już rozpracowany i jedyną rzeczą, na jaką badacz może się zdobyć, jest śledzenie pojawiających się w nich powtórzeń. Z kolei problem świadomości korzeni, z jakim się spotykamy w literaturze polskiej co pewien czas (proza kresowa, proza małych ojczyzn), otwiera ciągle całą serię nowych, nieprzewidywalnych zjawisk, często oczywiście zależnych od koniunktury literackiej, ale wynikającej także z potrzeby zasypywania pustych miejsc w procesie historycznoliterackim.

Różnice świadomości narodowej między poszczególnymi Słowianami – a „wspólnota” słowiańska istnieje w dalszym ciągu mimo postępującego procesu europeizacji kultur – wynikają w dużej mierze z innego poczucia wartości, czy mówiąc inaczej – z odmiennego kompleksu niższości. Niższości wobec sąsiednich narodów i wobec mityzowanej zawsze Europy. Kompleks niższości może się przejawiać w ucieczce sferę rodzimych, archaicznych toposów, w zamykaniu się przed zbyt radykalnymi formami artystycznymi lub odwrotnie – w zbyt natężonym, szybkim ich przyswajaniu bez określenia ich miejsca w tradycji. W zależności od tego,



GROMAĆE

Ilustracja Aleksander Fraj

jakie miejsce zajmuje w życiu współczesnym tradycja jako zbiór narodowych mitów, odwołań do źródeł i wspólnot religijnych, ów kompleks niższości może przerodzić się albo w postawę obronną albo atakującą. Ta pierwsza ujawnia taką świadomość narodową, dla której najważniejsze staje się pilnowanie kruchej substancji narodowej i państwowej przed światem zewnętrznym, który zawsze jest synonimem zła i czynnikiem erozyjnym. Druga zaś ujawnia świadomość kreacyjną, która z niebezpiecznego kontaktu z obcymi czyni program własnego rozwoju duchowego.

W wielu wypadkach można mówić o renowacji świadomości narodowej, zwłaszcza w nowej sytuacji politycznej, która przypomina o istnieniu skrywanych do tej pory aspiracji. Można się powołać na przykłady z ostatniej wojny domowej w Jugosławii. Czarnogóra, dotychczas wyraźnie zintegrowana kulturowo i politycznie z Serbią (wystarczy przypomnieć, że wielu wybitnych pisarzy serbskich pochodziło właśnie z Czarnogóry), nie przejawiała zbyt widocznych dążeń separatystycznych podobnie jak Bośnia muzułmańska, dobrze do tej pory, choć przecież w niedoskonalą postaci, czująca się we wspólnocie jugosłowiańskiej. Presja polityki, zmiany strukturalne, zwycięstwo nowej ideologii przyczyniły się do rozbudzenia dążeń autonomicznych, a te z kolei spowodowały, że dotychczasowe modele kultur, mało sprecyzowane, zależne wyraźnie od tego samego, wspólnego języka literackiego, z drobnymi tylko różnicami dialektalnymi i w ten język wpisane, zwróciły się ku dalekiej przeszłości i przesłaniu religijnemu kreując mityczną raczej rzeczywistość niż realną sytuację w celu uzasadnienia swej odrębności. I znowu sytuacja kultury staje się ważniejsza i ciekawsza niż fakty artystyczne, a świadomość różnic, uznanie i zachowanie dziedzictwa kulturowego³ oddalają je od współdziałania kulturowego między społeczeństwami. Wszak wzajemna izolacja – posłużmy się tu słowami z dawnej pracy Floriana Znanieckiego – nie daje żadnych trwałych efektów i jest niemożliwa we współczesnym świecie.

¹ M. Dąbrowska-Partyka, *Pogranicze jako znak sytuacji kultury* [w:] „Zeszyty Naukowe UJ”. Prace historycznoliterackie z. 88, Kraków 1998.

² A. Naumow, *Zmiana modelu kultury a kwestia ciągłości kulturowej* [w:] Zeszyty Naukowe KUL, r. 27, Lublin 1984, nr 4, s. 15.

³ F. Znaniecki, *Współczesne narody*, Warszawa 1990.

Drogi Tito, my ci przysięgamy...

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

wany na przymierzu, gwarantującym zbawienie. Podstawą państwa nie była zatem umowa pomiędzy ludźmi, tylko ich wspólna umowa z Bogiem; postrzegano je nie jako racjonalnie ukształtowany organizm polityczny, lecz jako *wspólnotę przymierza*. Jej uzewnętrznienie, jej „synajską ręką” stanowił dwuwiersz:

Drogi Tito, my ci przysięgamy,
że twą drogą ciągle podążamy.

Za życia Tity była to zaledwie jedna z wielu masowych pieśni, wyrażających oddanie ideologiczne i polityczne, doczesne zatem; gdy jednak władca umarł, gdy wskutek tego przesłonił się do wieczności, do rzeczywistości jakościowo nowej, musiał się jakościowo przeobrazić również i dotychczasowy kult jego osoby. To znaczy – przeobrazić się musiał w religię, po to, aby w ogóle możliwe stało się porozumienie z władcą. Innymi słowy, dotychczasowa więź ludu z wodzem, w zasadzie i pomimo wszystko racjonalna, wódz bowiem pozostawał człowiekiem, przynajmniej w takim sensie, że można go było dotknąć ręką, przerosła w tajemnicze przymierze człowieka z bogiem. Analogicznej przemianie uległ również cytowany dwuwiersz, stając się wyrazem transcendentnego oddania, przysięgą, funkcjonalnie i treściowo tożsamą ze ślubowaniem, które wierni składają w miejscach kultu.

Ta jakościowa przemiana, zgodnie z wszelkimi regułami, zaowocowała zjawiskiem pielgrzymki jako formą religijnej ekspresji, wszechobecną w dziejach religii. Pielgrzymki, która w perspektywie religijnej stanowi obrzęd przejścia z obszaru *profanum* do sfery *sacrum*, która jest wędrówką wiernych, odbywaną do miejsca świętego lub w jego poszukiwaniu. Podobnie, jak w przypadku religii „prawdziwych”, także i tutaj pielgrzymki kierowały się do miejsc, w których obecność istoty boskiej przejawiała się w sposób szczególnie klarowny, a jedno z takich miejsc stanowi bez wątpienia miejsce jej pochówku. Ponieważ jednak pielgrzymka jest zawsze przypomnieniem jakiegoś prawdydarzenia, które dokonało się w sferze *sacrum*, to jest – ponieważ pielgrzymi w istocie odnawiają pamięć o boskiej ingerencji w historię narodu wybranego, to delegaci gwardyjskich jednostek Jugosłowiańskiej Armii Ludowej nie zrobili nic szczególnego ponad to, że okazjonalnie, w zgodzie z duchowym horyzontem, w obrębie którego zostali wychowani, przypomnieli jedną z owych ingerencji – vukovarski zjazd Komunistycznej Partii Jugosławii z 1920 roku.

Wiele bowiem dotychczasowych pielgrzymek odbywało się w atmosferze religijnego dawania świadectwa: kiedyś „Wędrówka miłości i testamentu Tity” objęła wszystkie miasta nazwane jego imieniem i trwała dwa tygodnie; innym razem – dwaj robotnicy pieszo przebyli kilkaset kilometrów do Belgradu, u celu zaś pozostawili zapis: „Najmilszy nasz towarzyszu, przynosimy Ci pozdrowienie i przysięgę – Twój byliśmy, jesteśmy i będziemy”. Także i w niektórych tekstach oficjalnych, np. w przyrzeczeniu pionierskim, deklarację polityczną ujęto w formułę przysięgi. Kiedy natomiast 3 stycznia 1990 roku sarajewskie pismo „Oslobodjenje” usunęło ze swojej winiety wers: „Drogi Tito, my ci przysięgamy”, agencja Tanjug *explicite* oświadczyła, że akt ten dotyczy tekstu przysięgi, redaktor naczelny gazety nadał zaś swemu wyjaśnieniu tytuł: „Przysięga i życie”.

Wszystko to – co najważniejsze – podążało śladem języka teologii, który do języka bolszewizmu wprowadził niedouczone gruziński kandydat na duchownego, wygłaszając na drugim wszechzwiązkowym zjeździe rad, w roku 1924, natchnioną obrzędową przysięgę, zaadresowaną do rzeczywistości transcendentnej: „Odchodząc od nas towarzyszu Lenin pozostawiliśmy nam w testamencie... Przysięgamy, towarzyszu Leninie, że i ten ostatni twój nakaz wykonamy...” itd. W taki oto

sposób złożony mechanizm państwowy i polityczny został dwójako skonceptualizowany: folklorystycznie i teologicznie zarazem. Z jednej strony „obniżono” go do poziomu intymnych więzi rodzinnych, które nakazują synom wypełniać testament ojca; z drugiej zaś – „podniesiono” go na wyżyny religii, której wyznawcy składają ślubowanie swojemu bogu. Oznaczało to przetworzenie politycznego obrazu świata w obraz jednocześnie zrozumiały i bliski ludowi, a zarazem – w gruncie rzeczy – obraz jedynie możliwy. Ponieważ jeśli bóg jest również i ojcem, to w ostatecznym rozrachunku zacierają się różnice pomiędzy wyobrażeniem państwa jako wspólnoty rodzinnej, i państwa jako wspólnoty religijnej. Dokładnie to samo zdarzyło się również i w Jugosławii po śmierci Tity, w myśl oficjalnie głoszonego hasła: „I po Ticie – Tito” oraz „Tito to my”.

Skutkiem tego zamiast *doczesnej, politycznej* Jugosławii, która wyraźnie już chyliła się ku upadkowi, rozkwitała Jugosławia *transcendentna, niebiańska*, istniejąca poza historią i materialną rzeczywistością, egzystująca w kategoriach czysto duchowego, testamentalnego przymierza pomiędzy wyznawcami a bóstwem, trwająca całkiem niezależnie od przemijalności ludzkiego świata. Ponowił się w istocie ów akt, o którym mówi serbska pieśń ludowa, opiewająca odrzucenie przez księcia Lazara „królestwa ziemskiego” i przyjęcie „królestwa niebiańskiego”, czyli utratę pierwszego, której zadośćuczynieniem jest otrzymanie drugiego, bardziej wartościowego i rzeczywistego. I właśnie tutaj, być może, trzeba się doszukiwać owych najgłębszych, najbardziej istotnych powodów, dla których akurat naród serbski, bardziej niż jakikolwiek inny, tak silnie utożsamiał się z Jugosławią – tym mocniej, im bardziej oczywisty stawał się jej upadek. Niezależnie od manipulacji jego politycznych przywódców (bo nie są one wszechmocne, gdy nie znajdują podatnego gruntu), dusza ludu intuicyjnie odczuła, że Jugosławia i Serbia, gdzieś głęboko, pod przysłoną politycznych intryg, spotykają się w jakiejś prajedności, niczym dwa gmachy zbudowane z tego samego materiału i jedynie pomalowane na dwa odmienne kolory.

Nie tak dawno na przykład Žarko Vidović w książce *Njegoš i testament kosowski w naszych czasach* (Belgrad 1989) zaprezentował – osnutą na kanwie dzieł Njegoša oraz kosowskiej epiki – systemową, teologiczną interpretację serbskich dziejów, a nawet swoiste, teologiczne uzasadnienie wieloserbskiego imperializmu. Krótko mówiąc, naród nie jest w tej książce określony jako wspólnota świecka, lecz jako *wspólnota przymierza/testamentu*, której substancję stanowi „doświadczenie transcendencji, doświadczenie przymierza/testamentu”; życie zaś takiej „testamentalnej wspólnoty (narodu serbskiego) niezależne jest od świeckich, ziemskich warunków; istnieje ona bowiem ponad nimi”. W tym konkretnym przypadku, jakim jest naród serbski, „świadomość przymierza/testamentu przejawia się jako utożsamienie poszczególnych jednostek z kosowskimi bohaterami” i „tylko w owym utożsamieniu zawiera się możliwość (...) testamentalnej jedności z nimi, podobnie jak w utożsamieniu się z Chrystusem możliwa staje się tajemnicza wspólnota z tymi, którzy po swojej śmierci żyją już tylko w Chrystusie!” I dalej: „testamentalna wspólnota królestwa niebiańskiego nie jest instytucją, zwłaszcza zaś nie jest instytucją państwową; jest aktem liturgicznym”; we wspólnocie tej należy „straszliwą klątwą zetrzeć imiona” zdrajców podobnych do Vuka Brankovicia, „ponieważ są to apostości Serbskości, zaś apostości Serbskości to – ze względu na to, iż Serbowie są narodem przymierza, Nowym Izraelem – »czarci potomkowie«, wstrętne samemu Bogu!”.

Wystarczy istotne dla tej koncepcji atrybuty Serbii przypisać Jugosławii, aby dostrzec, jak nienagannie ów system funkcjonuje również i na tej, szerszej, płaszczyźnie: utożsamianie się z niegdysiejszym, ubóstwionym prezydentem, wyrażające się



Ilustracja Aleksander Fraj

w haśle „Tito to my”, powołuje do życia *wspólnotę testamentu/przymierza*, której fundament stanowi świadomość testamentalna; owa wspólnota w żadnej mierze, przynajmniej w ciągu ostatnich dziesięciu lat, tj. od śmierci swojego przywódcy, nie jest instytucją świecką. Jest ona powtarzalnym aktem liturgicznym, przyjmującym formę odnawiania przymierza w najważniejszej swojej świątyni, w stanowiącym cel rytualnych pielgrzymek belgradzkim Domu Kwiecia. Obrońcy Vukovaru, i w ogóle – Chorwacji – to apostości Jugosłowiańskości, których imiona trzeba zetrzeć; są oni „ustaszami”, wstrętnymi samemu Bogu, skoro to „Jugosłowianie” stanowią lud przymierza, a Jugosławia – *wspólnotę testamentu*. I właśnie dlatego, czytając ową informację o przysiędze gwardyjskich delegatów, trzeba mieć na uwadze słowa Vidovicia, głoszące, że „nigdy nie pojmujemy, czym jest przysięga, jeśli nie zrozumiemy, jak dalece samo pojęcie testamentu niepowiązywalne jest z przestrzenią świeckości”. Słowa te ukazują bowiem, że atak Jugosławii i Wielkiej Serbii na Chorwację jest jednak, w swych głębinowych inspiracjach, autentyczną *wojną religijną*. I to wcale nie prawosławno-katolicką, lecz wojną misteryjnej, testamentalnej wspólnoty przymierza przeciwko wspólnocie świeckiej, politycznej. W tej wojnie, rozpoznawszy się w sobie nawzajem, niczym człowiek w swoim lustrzanym odbiciu, stopiły się ze sobą w sposób ostateczny i nieodwołalny dwie wspólnoty, których substancję stanowi doświadczenie testamentu/przymierza i – zjednoczone – zaatakowały *wspólnotę*, której substancję stanowi doświadczenie historii.

Bo skoro już Serbia Miloševicia nie może być spadkobiercą Jugosławii w świetle prawa międzynarodowego i w sferze zjawisk materialnych, to jest nią w sposób bezsporny przynajmniej w aspekcie duchowym. Niezbitym tego dowodem jest owa ponura oficerska przysięga, złożona nad grobem Tity.

Przełożyła Maria Dąbrowska-Partyka

IVO ŽANIĆ, ur. w Splicie w roku 1954, jest chorwackim eseistą, dziennikarzem i prozaikiem, badaczem języka mediów, propagandowej retoryki oraz mechanizmów ich społecznego funkcjonowania. Jego najważniejszą pracą jest *Oszukana historia. Gęślarska estrada, kult hajduków a wojna w Chorwacji, Bośni i Hercegowinie w latach 1990-1995*, Zagreb 1998. Prezentowany tekst pochodzi z książki *Śmierć czerwonego fraciaka*, Zagreb 1993.

Ferdinand Kulmer (1925-1997) (Chorwacja), *Mutanty gryfa* (3 wersje), 1981, acryl na płótnie, 3 razy 52 x 73 cm. Galeria Forum, Zagrzeb.



Reprodukcje Katalog

Svetislav Basara *De bello civili*

ROZDZIAŁ 10

Ścisłe rzecz biorąc, moje przestępstwo miało charakter polityczny. Ale ze względu na demokratyczny *imidż* i światową opinię publiczną, władze zorganizowały zabójstwo pewnej trzeciorzędnej aktorki, abym mógł zostać rozstrzelany jako współnik odrażającego mordercy. Było dla mnie rzeczą zupełnie oczywistą, że w całej tej nagonce maczali palce strukturaliści, krytycy i postmoderniści. Wykorzystując porę *smuty*, czas wojny domowej, zdecydowali posłużyć się krwiożerczą naturą reżimu, aby nareszcie ukreślić mi głowę; aby ostatecznie pomścić wszystkie obelgi, którymi hojnie obrzucałem ich na łamach kolorowych czasopism w kraju i na świecie.

Strukturalizm, o ile się nie mylę, pojawił się w tutejszych okolicach pod koniec lat siedemdziesiątych. Początkowo był on jedynie intelektualną modą, aby następnie wywołać serię wielce dziwacznych, a niebezpiecznych zdarzeń. W tamtym czasie nie było nieomal czasopisma, które nie wydałoby kilku tematycznych numerów, poświęconych owemu ruchowi. Znamienici i mniej znamienici strukturaliści nawiedzali Belgrad, wygłaszali natchnione referaty, przesiadywali w knajpach, zapraszali do luksusowych pokoi hotelowych studentki komparatystyki oraz produkowali małych strukturalistów. Do tamtej pory bytowali sobie w przytulnym zaciszu. Władca jeszcze żył i twardo podtrzymywał swoje postanowienie, aby nie umrzeć nigdy; czas płynął w jednym kierunku; odnotowywano stały wzrost spożycia wędzonych produktów mięsnych; przyrost naturalny był zadowalający, a bunt na „Bounty” już dawno utopiono we krwi.

Potem jednak sprawy, początkowo z wolna, poczęły się obracać na gorsze. Syndrom pekiński. Subwersja dekonstrukcji, niekończący się bełkot o dekodowaniu, spowodowały pierwsze głębokie anomalie tektoniczne w obrębie – na tych terenach zawsze niestabilnej – podświadomości zbiorowej. Ich najbardziej złowieszczy sygnałem była choroba Władcy. Trzeba uczciwie przyznać: z zachodnimi nowinkami walczył nader zdecydowanie, ze śmiercią prowadził pertraktacje prawdziwie długotrwałe. Nie przeczuwając nawet, że cały ten zamęt sprokurowali mu strukturaliści, obficie korzystający z hojnych stypendiów jego rządu, składał swą przemijalność na karb wewnętrznych i zewnętrznych wrogów, fi-

nansowo wspieranych przez siły międzynarodowej reakcji. Władca był bowiem strukturalistą, choć mu się o tym nawet nie śniło. Późniejsze badania dr R. Hamsuna z uniwersytetu w Uppsali nie pozostawiają co do tego najmniejszych wątpliwości. Wg doktora Hamsuna, Władca był zdekodowany do tego stopnia, że już około roku 1950 przestał być istotą ludzką, a stał się znakiem. Ten sam autor twierdzi również, iż Władca – gdyby nie wmieszali się w to wszystko dekonstrukcjoniści – nie umarłby wcale.

Istnieje szereg niejasności w obrazie wydarzeń tamtego okresu. Przede wszystkim – imię Władcy, TITO, stanowi po prostu anagram (ulubiona formuła kapłanów czarnej magii) imienia egipskiego bóstwa TOTH oraz niemieckiego słowa TOT – martwy. Przekładając to na język bardziej zrozumiały, Władca stanowił antycypację mnóstwa gwałtownych śmierci, które przyniesie późniejsza wojna. Ponieważ ci, którzy nieodwołalnie zgubili swoje dusze, „żyją” jeszcze przez jakiś czas, nie trafiają bowiem do piekieł, lecz skazani są na zupełną nicość. J. B. Tito przebywał jeszcze na tej ziemi przez okragłych trzydzieści lat, spędzając ten czas na polowaniach, łowieniu ryb, przejazdach, dymisjonowaniu najbliższych współpracowników, otwieraniu fabryk i autostrad, picciu whisky oraz winu pół na pół zmieszanego z wodą, a także na pozostałych czynnościach, wątpliwościach, ciężarach i przywilejach, stanowiących powinność głowy państwa.

Drugim istotnym rysem oddania, jakie władca żywił dla strukturalizmu, był język jakim się posługiwał. Dziwna mieszanina, zrozumiała i niepojęta zarazem, za pomocą której potrafił przemawiać godzinami, nie mówiąc przy tym niczego, była – wg dr Hamsuna – zdeformowanym slangiem owego prajęzyka, którym posługiwali się budowniczowie wieży Babel. Tym językiem, powiada dalej doktor, przemawiać będziemy wszyscy tuż przed końcem świata. Zostawmy jednak na stronie lingwistykę i eschatologię. Kraj, nad którym panował Władca, dostał się pod okupację dekonstrukcjonistów. I to nie dla jakichś materialnych korzyści, lecz celem pełnego unicestwienia. Po to, aby stać się przedmiotem eksperymentu, którego rezultaty pozwoliłyby opracować metodę zniszczenia całej reszty świata. Czyż nie świadczy o tym, wszechstronnie zinterpretowana, absurdałna pseudoheral-

SVETISLAV BASARA, powieściopisarz, nowellista i eseista, ur. w miejscowości Bajina Bašta, w roku 1953, jest autorem kilkunastu książek. W roku 1993 został pierwszym laureatem nagrody przyznawanej przez Fundację Borislava Pekicia. Prezentowany fragment pochodzi z powieści *De bello civili*, wydanej w Belgradzie w 1995 roku.

dyka godła owego kraju: sześć pochodni symbolizujących ogień szóstego kręgu piekieł, w którym gorzeć będzie przeważająca liczba jego obywateli, a także umieszczona na nim wstęga z datą 29.11.1943, zawierająca w sobie dwie najbardziej złowroźne cyfry (zob.: Chevalier, *Słownik symboli*)?

Znamienna jest również i ta okoliczność, że Władca umarł w Lublanie, stolicy tej republiki, która zadała *coup de grâce* ostatecznie już zdekonstruowanemu państwu. W rzeczy samej *umarł* to nazbyt mocne słowo. Zniknął, rozplynął się, wyparował, a na tożu śmierci pozostała jedynie plama, co postawiło w nader nieprzyjemnej sytuacji generałów, kamerdynerów i rozmaitych innych członków najprzeróżniejszych gremiów. Przede wszystkim dlatego, że zjawisko to kłóciło się z ich marksistowskim światopoglądem, ponadto – w związku z brakiem technicznych możliwości zabalsamowania i wystawienia czegokolwiek we wspólnym mauzoleum, które – w najgłębszej tajemnicy – zaprojektował architekt B. Bogdanović. Problem rozwiązano w ten sposób, że w trumnie znalazła się woskowa figura, wierna podobizna Władcy, wykonana w atelier słynnego muzeum M-me Tisaud.

Na zewnętrznych ścianach grobowca Władcy nie umieszczono żadnych znaków. Wewnątrz jednak, jak pisze dr Hamsun, wyryto w marmurze symbol, na którego temat nie posiada on żadnych informacji, a który wygląda ot tak:

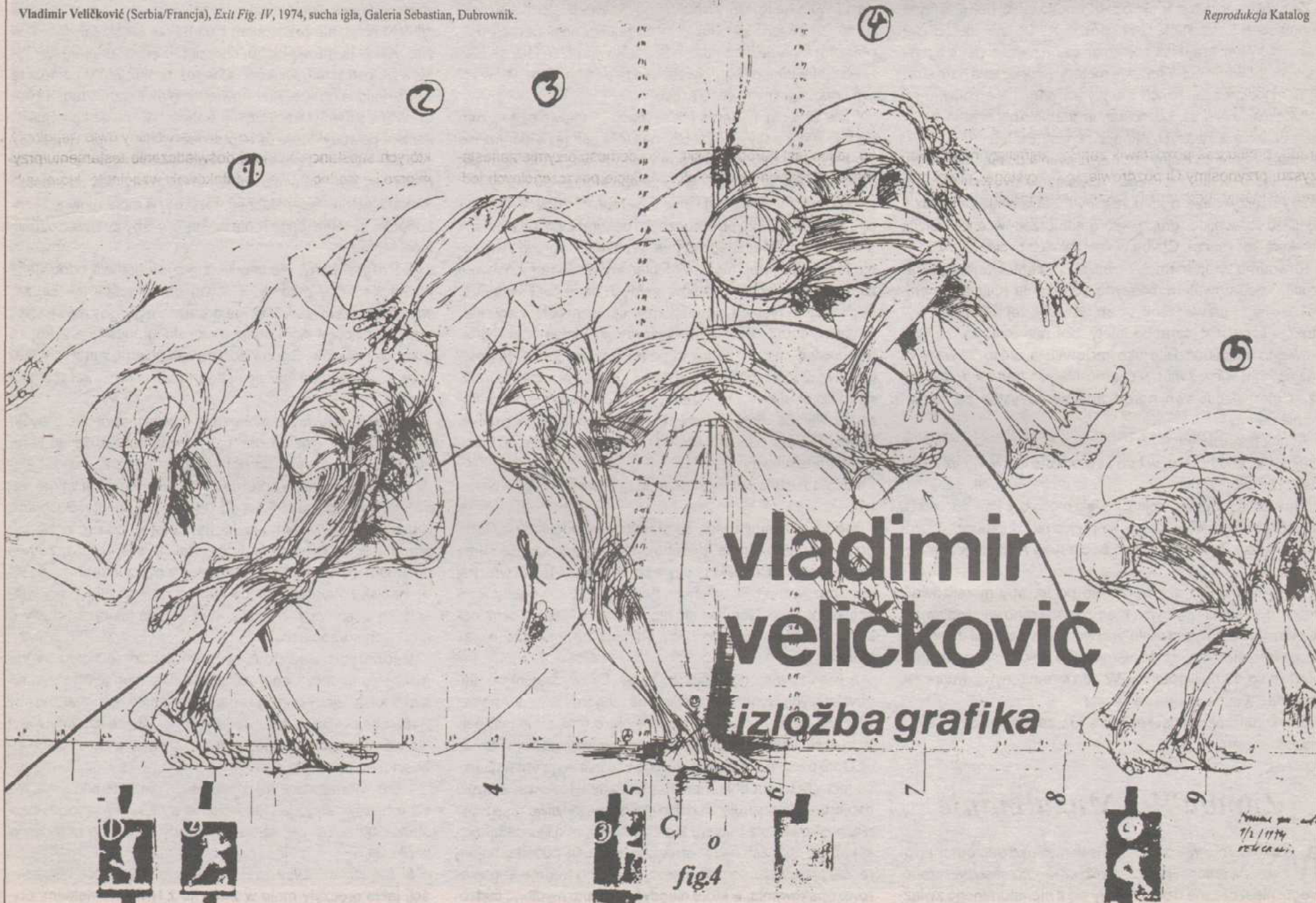


Przełożyła Maria Dąbrowska-Partyka

* Titę widziałem tylko raz. Było to w roku 1967, w Užicu, gdy przejeżdżał jego ulicami, by otworzyć Zakłady Chemiczne „Bajina Bašta”. Mignął mi przez moment w oknie swojego samochodu. Był koloru brązowego i stał się coraz bardziej podobny do niezliczonej ilości swoich posagów i biustów, rozrzuconych po całej Jugosławii. W roku 1992 spróbowałem, metodą kabalistyczną, tchnąć życie w jego spiżowy pomnik ukryty za budynkiem muzeum w Užicu. Bez rezultatu.

Vladimir Veličković (Serbia/Francja), *Exit Fig. IV*, 1974, sucha igła, Galeria Sebastian, Dubrownik.

Reprodukcja Katalog



Semezdin Mehmedinović Sarajewo blues

SEMEZDIN MEHMEDINOVIĆ ur. 1960, w Kiseljaku koło Tuzli, w Bośni. Wydał dwa tomiki wierszy: *Modrac* (1984) i *Emigrant* (1990). Jest także autorem paradokumentalnego filmu *Mizaldo ili kraj featra* (1994), nagrodzonego w 1995 roku na festiwalu w Rzymie pierwszą nagrodą publiczności i krytyków. Wszystkie zaprezentowane opowiadania pochodzą ze zbioru *Sarajewo blues* (Zagreb 1995), którego pierwsza, krótsza wersja ukazała się w Sarajewie, w 1992 roku.

Obraz wojny

Dziś rano wyszedłem po papierosy i moje spojrzenie automatycznie powędrowało w stronę dźwięku, od którego drżą szyby w oknach. Wojskowi w opasłym helikopterze unoszą się na wysokości budynków, jakby z trudem dźwigali własny ciężar. Zaczęło się, pomyślałem. Tak samo, będąc chłopcem, wznosiłem spojrzenie ku gałęziom niezwykłego drzewa, z którego opadały, wirując jak śmigła, suche strączki. Brązowe, suche strączki, które w dziecięcym języku noszą nazwę helikopterów.

I myślę o tym, jaka dramatyczna różnica dzieli znaczenie tych samych słów. Może dlatego tak bardzo bliski jest mi powszechny podział na świat dzieci i świat dorosłych. Dzieci postrzegają świat w kategoriach estetycznych. Pewien fiński poeta mówi, że swoje wojenne dzieciństwo pamięta jako „wspaniałe, ogromne pożary”. W dziecięcym języku nie istnieje słowo „skutecznie”, którego prawdziwe znaczenie odkryłem będąc w wojsku. W języku dorosłych słowo to określa, bez wyjątku, zniszczenie.

Naiwna myśl, że niektóre państwa powinny wprowadzić do swych kodeksów paragraf, uzasadniający prawo jednostki do naturalnej śmierci, prowadzi mnie do porażających wniosków. (Do problemów o zasięgu światowym nie powinno się mieszać moralności). Kierując się zasadami moralnymi, należałoby zlikwidować helikoptery, które tak skutecznie rażą ogniem. A to byłoby możliwe jedynie wtedy, gdyby świat dorosłych uległ całkowitemu zniszczeniu. Lecz w całości i tak pojawiłaby się znowu, a świat dzieci uległby polaryzacji. I wśród dzieci istniełby żołnierz i ofiary.

Zamknęło się w ten sposób błędne koło mojej naiwnej myśli i obmyślałem teraz skuteczny sposób na to, aby się od niej uwolnić. W tym kraju tak często grożono nam wojną, że chyba wypróbowano już wszystkie metody napędzania nam strachu. To oczywiste, że ich nie wyczerpano. Ale sprawia mi satysfakcję myślenie, że pozostały im już tylko helikoptery, które pojawiają się w naszych oknach i ryczą: Buuuu.

Straszniejsze od wojny jest nawoływanie do niej. Agitatorzy rekrutują się zwykle z szeregów intelektualistów, tych samych, którzy szerzyli tezę o samorządym socjalizmie, a w razie konfliktu jednostki z grupą, skórę samorządowca zamieniali na skórę komisarza. Chyba wpięprzało ich bycie „ofiara”.

Pewnemu znajomemu – zresztą, utalentowanemu pisarzowi – podarowałem maszynę do pisania (Olimpia monica). Byliśmy przyjaciółmi. A on teraz na tej maszynie wystukuje szowinistyczne pamflety. Nie razi mnie to, że ktoś pewnego ranka budzi się jako nacjonalista, ale to, że w swym zaślepieniu widzi świat w czarno-białych barwach: a wówczas, gloryfikując swój naród, atakuje wszystko, co do niego nie należy.

A, niech tam.

„Róbcie, co chcecie, w tym zawiera się Prawo”, mówi Allister Crowley.

Ale kiedyś przyjdzie wojna, bo jaki może być inny cel produkowania helikopterów. Zaś ci, którzy do niej doprowadzili, zrobią wszystko, byle tylko ocalić swoje tyłki. A to nie jest w porządku.

Wspominałem o dzieciach, nie po to, aby moralizować, posługując się niewinnymi. Kiedy dzisiaj rano wyszedłem po papierosy, zachwyciło mnie przywołane w pamięci dziecięce oko, które suche strączki, wirujące w powietrzu jak śmigła, porównało do helikopterów. W porównaniu tym zawiera się fascynacja, ale i drwina ze świata.

Doskonałe oko dziecka, które już zawczasu żyło się z wszelkim złem.

Zambak* / Muzułmanie

Muzułmanie w Bośni nadawali swoim dzieciom prawosławne imiona. Było to wyrazem kompleksu partyzackiego: nieszczęsne dzieci rodziły się z nienaturalnego zwią-

ku ich rodziców z państwem, które delikatnie próbowało je zasymilować. Dlatego tak naturalny wydaje się fakt, że – kiedy wybuchła wojna – niektórzy muzułmańscy artyści uciekali do Belgradu w wojskowych transporterach. W tych samych transporterach, którymi z powrotem do Sarajewa przywożono czetników. Wyjechali do Belgradu, z którego, już wtedy, komenderowano zbrodniami, dokonywanymi nad Driną na muzułmanach. Wiele przykładów potwierdza ten syndrom poddaństwa. Na przykład, w herbie Republiki Bośni i Hercegowiny znajduje się kwiat; w języku chorwackim nosi on nazwę *ljilj* lub *krin*. Stylizowany jest w taki sposób, że bardziej przypomina krzyż, aniżeli kwiat, który rośnie w sarajewskich ogrodach i nazywa się *zambak*. Kobiety, które go podlewają nie wiedzą nawet, że jest to, tak często obecnie wspomniany, *ljiljan*¹. Przystawanie na chrześcijańską wersję imienia nie było jedynie zwykłym pochlebstwem; było wyrazem uporczywej zgody na Jugosławię. Bośniackim muzułmanom potrzeba było wojny i ludobójstwa, aby zrozumieć, czym jest dla nich Jugosławia. Nie jest to zatem zwykłe językowe nieporozumienie. Dziesięcioletni chłopiec, który pyta, czy jest muzułmaninem, uzyskawszy odpowiedź twierdzącą, mówi: nie chcę zostać zgładzony; dowodzi to faktu, że z jego narodem stało się coś strasznego. Język określił nasz los. Chłopiec, który zadaje to pytanie – w schronie przeciwbombowym – ostrą krawędzią odłamka ostrzy ołowek, po czym wraca do rysowania swojego komiksu. Bohater komiksu nazywa się Terry Marnese; chłopiec nadał mu to imię. Świat komiksu, jako miara humanizmu i poziomu cywilizacyjnego planety, przestaje w tym momencie istnieć. Rzeczywistym światem chłopca jest świat, odkrywany przez niego z dziesięcioletnim opóźnieniem; granicami tego świata są granice jego imienia. Najstraszniejsze, co przydarzyło się temu narodowi, to zapomnienie. Od zagłady straszniejsza jest niepamięć o niej, mówi Baudrillard.

Nadmiar historii

W fasadę domu przy ulicy Tity uderzył granat. Na ziemię posypał się tynk, a wraz z nim spadła metalowa tabliczka. Na tabliczce widnieje napis: ulica dr. Ante Pavelicia 11². Dla mnie, który dotąd tego nie wiedziałem, stało się jasne, że obecna główna ulica Sarajewa nosiła przed półwieczem inną nazwę; nazwa ta przetrwała całe lata na niezniszczalnej metalowej płytce, ukryta pod tynkiem, jak w jakimś geologicznym złożu czasu.

Czas zmienia się teraz tak szybko i gruntownie, że czuję się tak, jakby wszystkie rzeczy, na które patrzę i z którymi się tutaj stykam, były starsze ode mnie. A wszystkie one, sądząc po dacie produkcji, są na pewno starsze od wojny.

W oglądanym wczoraj filmie o Sarajewie zobaczyłem ulicę Tity w zimowych, noworocznych dekoracjach: od kawiarni „Park” aż do „Wiecznego Ognia” przestrzeń sprawia wrażenie nieprzejrzystej; mglista otchłań wypełniona mnóstwem zaimprovizowanych kramów, pełnych balonów i świątecznych kartek; tysiące samochodów spieszących w obu kierunkach, a nad nimi las transparentów i lampionów. Obraz ten uświadomił mi, że już zupełnie zapomniałem, jak niegdyś wyglądała ulica, którą teraz, zdaje mi się, przemierzam kilkoma krokami. Rzeczywiście, kiedyś była taka długa (ta właśnie ulica), że nawet nie przychodziło mi do głowy chodzić po niej pieszo, tylko od razu wskakiwać do tramwaju lub taksówki.

Miasto zostało sprowadzone do rozmiarów mapy wojskowej.

Nie ulega wątpliwości, że przestrzeń od kawiarni „Park” do „Wiecznego Ognia” pokonuje się, jak zawsze, tą samą liczbą kroków. Co się w takim razie zmieniło? To, że wczoraj ulica nazywana była imieniem Ante Pavelicia, a potem marszałka Tity – jest jedynie nic nie znaczącą ideologiczną dekoracją; równoległe do ulicy płynie nieodmiennie wciąż ta sama Miljacka.

A więc zmiana nastąpiła we mnie. Odzwyczajeni od niegdysiejszych wygód, wszystko postrzegamy jako normalne. Wczoraj też się umierało, ale dzisiejsze umieranie jest bardziej dosłowne; mniej grozy w folklorze towarzyszącym śmierci. Opakowanie pudełka, z którego właśnie wyjąłem papierosa jest właściwie dokumentem. Zakłady tytoniowe, z braku papieru, wykorzystują wszelkie materiały, możliwe do zdobycia: opakowania z papieru toaletowego; kartki książek, dzięki którym podczas beczynnego palenia na pudełku papierosów przeczytać można wiersz albo jego fragment; papierowe opakowania, w które niegdyś zawijano mydło..., cudzo-

ziemcy kupują te papierosy jako suveniry, stanowiące przykład nowej sztuki tytoniowo-użytkowej i zabierają je ze sobą do domów.

Papieros, który właśnie palę, został zapakowany w świadectwo zgonu; wymieniono w nim przyczynę śmierci, widnieje na nim pieczętka i podpis lekarza. Przyznaję, że spośród wszystkich materiałów, ten jest ostatnim, który powinien być posłużony jako opakowanie papierosów; przyznaję jednak i to, że nic już nie jest w stanie mnie zgorzyszyć.

Odległość pomiędzy istnieniem tabliczki z napisem „ulica dr. Ante Pavelicia” i tej, która do dzisiaj widnieje na fasadach głównej ulicy Sarajewa, wypełniają papierowe znaki umierania. Noszą one nazwę historii. Pozbyłem się już całkowicie złudzenia, że historia i rozwój to słowa, których znaczenia mają ze sobą cokolwiek wspólnego. Rozwój definitywnie nie istnieje, my żyjemy na terenach cierpiących na nadmiar historii. Historia kilku ulic sarajewskich warta jest dokładnie tyle samo, co historia USA. A skoro tak, to jest rzeczą zupełnie naturalną, że powinna ona służyć czemuś pożytecznemu. Choćby i ostatnim papierosom.

Imam²

1. Drzwi domu otwiera mi dziewczynka, jego zaś zastają krzątającego się przy piecyku – uśmiechniętego, w jasnożółtym pulowerze; gestem pokazuje, żebym usiadł. Patrzę na rząd kaset video obok telewizora; pierwsza, przychodząca mi do głowy, pełna ciekawości, myśl: czy wśród nich jest może jakiś film Yilmaza Gineya? W tej samej chwili tracę ochotę, by go o to zapytać.

2. Od granatu, który wybuchł przed Dairami, zginęło troje dzieci oraz wnuk efendiego³ Spahicia, imama Begovej dżamiji⁴. Wcześniej – jego żona; jakby ją Bóg zabrał do siebie, aby uchronić. Przed patrzeniem. Myślę, że nie ma tragedii wielkich i małych. Są tylko tragedie. Niektóre można chyba wyrazić za pomocą słów. Są też takie, dla których każde serce jest nazbyt małe. Nie wystarczy w nim miejsca.

3. Po raz pierwszy zobaczyłem go w telewizji: wstrząsnęła mną siła, z jaką gromadzi w sobie smutek; teraz wygląda młodziej, gdy podchodzi do stołu, podaje pudełko papierosów, podsuwa popielniczkę, częstuje nimi i mówi: „Kiedyś lubiłem palić, ale przestałem i już mi nie smakują”. Mówi cicho. Kiedy ja mówię cicho, chrypię; to przez papierosy. Obserwuję ostrożnie, szukam jakiegoś znaku, który zdradzi tę wyróżniającą go siłę. Rozmawiamy; mówi: „Ludzi można podzielić na silnych i słabych; ale słabości nie należy potępiać”: istnieją powody, które ją usprawiedliwiają, na przykład, budowa fizyczna. I wiele innych. Nigdy własnoręcznie nie zarządziłem barana, nie miałbym nawet na to siły. Tak po prostu”. Wskazując na swoją słabość, rozproszył moje naiwne przekonanie, że jedno spojrzenie wystarczy, aby dostrzec oznaki jego siły.

4. Rozmawiamy; nie improwizuje; ma gotową odpowiedź na każde moje pytanie. W swej samotności, jak sądzę, wszystko przemyślał. Dlatego odczuwa ulgę, gdy mówi, splecionymi palcami dłoni obejmując kolano; myśli literacko, za pomocą obrazów. Odpowiedzi są całościami, z których podczas rozmowy, powoli powstaje mały słownik samotności imama.

Armia. Sarajewscy żołnierze to myśliwi, stwierdza; myśliwy przez cały tydzień pracuje, a w sobotę idzie do lasu, zabije zająca i wraca do domu; podobnie oni, mówi – siedzą w kawiarniach, a potem swoimi luksusowymi limuzynami jadą na szczyt Bistrika, pod Trebević i strzelają. *Bośniacki muzułmanin*. Przypomina mi się Tolstoj; pisząc o Hadżi-Muracie – zachwyca się jego góralską siłą i mówi, że jest jak trawa jesienią, tratowana przez wozy z sianem; ale kiedy nacisk kół ustąpi, każde źdźbło się prostuje. Tacy właśnie są bośniaccy muzułmanie: żdźbła jesiennej trawy o mocnych korzeniach.

Mudžahedin. Zachód nie wie, co znaczy to słowo. W tłumaczeniu oznacza ono wojownika. Dla nich jest to terrorysta, podkładający bomby w paryskich kafejkach. Walczy, aby wypełniła się Boża sprawiedliwość; zabijanie z zemsty jest dla niego grzechem śmiertelnym. Zachód w swojej obojętności tego nie dostrzega.

Islam. Wiara, która się szerzy, lecz nie przemocą; nie ma swoich misjonarzy; „ja”, które się nie wynosi, a wszędzie pozostawia swoje ludzkie, szlachetne ślady. To cecha prawdziwej wielkości.

5. Jego tolerancyjność jest ujmująca. Wszystkie wątpliwości, jakie dręczyły mnie w związku z tym człowiekiem, pry-

skają. Z braku lepszego słowa, nazywam jego postawę, na własny użytek, bośniacką tolerancją. W przerwie – podczas gdy efendi Spahić wstaje i odchodzi, aby dołożyć do ognia w piecyku, a potem wraca z dwiema gruszkami na tacy – oglądam grafiki na ścianie; jeden miedzioryt: wszystkie z motywami starej sarajewskiej *čaršiji*⁵. Nagle coś do mnie dotarło; uzupełniam więc słownik naszej rozmowy.

Duch Sarajewa. Przychodzą mi na myśl tamte, widoczne na ścianach, bośniackie kawiarnie, nieprzemijające obrazy wciąż tych samych motywów: starzec z fezem i filiżanką w ręce; kupcy zgromadzeni wokół sebilja⁶. Wstępowali tam (do tamtych kawiarni) emeryci w czarnych baskijskich beretach z pudełkami białych „drin”, po pracy, albo po modlitwie; wstępowali także ćpuni, na tanią coca-colę. Tolerancja Sarajewa, związana z współistnieniem najróżniejszych świątyń znajdujących się na jednej, wąskiej ulicy, była, jak się zdaje, naiwnością historyków. Rzeczywistą tolerancją jest ta, o której nikt nie napisał ani słowa: spokój bośniackich motywów z obrazków na ścianie kawiarni z coca-colą; ta sama wrząca woda na kawę dla starca w berecie i na kawę dla rozczochańca w dżinsach, szprycującego się w cieniu minaretu. Nikt nie przydawał temu żadnego znaczenia; o sztuce naiwnej *čaršiji* historycy nie napisali ani słowa. Skubię gruszkę; rozmowa schodzi na pogodniejsze tematy; wydzielam z niej jeszcze jedno hasło i dołączam do słownika.

Emir Kusturica. Jest to krowa, która daje dużo mleka, a następnie uderza nogą w bańkę, przewraca ją i wszystko wylewa, mówi efendi Spahić. Po pożegnaniu wychodzę na ulicę spokojniejszy, niż przed przyjściem tutaj. Kiedy efendi Spahić opowiadał o swoim nieszczęściu, jego oczy zwężały się łagodnie, jak z zimna. To wszystko. Wyszedłem, unosząc w nozdrzach jesienny zapach gruszek.

6. Jest słonecznie, ale miasto jeszcze zamglone. Na samym dole długich eleganckich schodów Muzeum Miejskiego siedzi Bokun; włosy związał w kucyk; w okularach przeciw-słonecznych, w czarnej marynarce z zamszu przypomina zre-

zygnowanego dublera Michaela Douglasa. Jest sobota, na wzgórzach są już niedzielnicy; mówię mu, że już czas opuścić ulicę, ale on macha ręką: „To mój ostatni papieros. Muszę mu się oddać, a to jest możliwe tylko na ulicy. Tylko na ulicy mogę być zupełnie sam”, mówi.

7. Próbuję porównać samotność Bokuna z samotnością efendiego Spahicia; zdyszałem się idąc pod górę.

Jeżeli, czytelniku, pójdziesz jeszcze 50 metrów w górę, wzdłuż ulicy Abdullaha Kaučiji i odwrócisz się, zobaczysz zamglone Sarajewo; ponad mgłą ujrzysz dachy starego miasta, a nad nimi minaret Begowej dżamiji pędzący z ziemskiej, zamglonej codzienności, w kosmos bólu.

Białe „driny”

Opakowanie białych *drin* jest solidne i funkcjonalne. Jego dominującą barwą jest biel. Pewien mój przyjaciel, latem 1980 roku, na ławce, w parku „Svjetlost”, na pudełku białych *drin*, naszkicował mi ze wszystkimi detalami ciało kobiety, z którą spędził noc. A ileż samych tylko numerów telefonu zgnieciono po wyjęciu z pudełka ostatniego papierosa...

Mniej więcej w tym czasie byłem studentem; z czerwonego paska, którym rozrywa się celofan na pudełku *drin* i z kawałeczka celofanu, który wyrzuca się razem z paskiem, robiłem dla mojej dziewczyny jakieś zwariowane kokardki. Potem, kiedy się z nią ożeniłem, pokazała mi pudło, całkowicie nimi wypełnione. Było ich tyle, że oczyma duszy zobaczyłem zdjęcie własnych płuc. Ale nawet teraz ta sama kobieta mogłaby potwierdzić, że obecnie myślę podobnie, jak myślałem wtedy: od tytoniu się nie umiera.

Dzisiaj zaś wiem to, czego wczoraj – siłą rzeczy – nie wiedziałem: od granatów nie umiera miasto. Chcę w ten sposób powiedzieć rzecz następującą: Sarajewo jest niezniszczalne nie dlatego, że granaty odbijają się od betonowej fasady gmachu telewizji jak robaczki świętojańskie, ale dlatego, że

po tym wszystkim wciąż jeszcze mamy białe *driny*. Te papierozy są może ostatnim śladem romantyzmu, uwznioślającym każdą wojnę obronną.

Nic już nie jest tak bardzo *sarajewskie*, jak pudełko białych *drin*. Dawne papierozy studentów i emerytów stały się teraz papierosami wojennymi, są trochę bardziej cierpkie i suche, ale wyglądają tak samo; brakuje tylko daty produkcji i celofanu. Ten brak celofanu czyni je bardziej surowymi, męskimi. Nie po raz pierwszy do Bośni dociera pomoc humanitarna; niegdyś w amerykańskich paczkach przychodziły *chesterfieldy*. Do niedawna od kogoś, kto pamięta tamte czasy, można było usłyszeć: „*Chesterfieldy* to najlepsze papierozy...”. Kiedy to wszystko minie, nie wiem, czy podobnie będzie się mówiło o białych *drinach*. Po wojnie staną się one bośniackimi *gitanami*. Pod warunkiem, że tytoń z Hercegowiny będzie docierał do Sarajewa...

Nigdy nie zwracałem uwagi na obecność aliteracji w słowach *duhan* i *duh*⁷. Ale, bez względu na to, jak patetycznie to zabrzmiało, wydaje mi się, że te papierozy są wiernym odbiciem mentalnego zdrowia i niezłomnie dowcipnego ducha człowieka, który pośród nocnego piekła, gdy pociski zasypują miasto, otwiera okno wychodzące na Trebević i krzyczy: „Celuj nieco wyżej”.

Przełożyła Sylwia Nowak

¹ zambak (z tur.) – lilia, symbol widniejący w herbie Bośni i Hercegowiny.

² iljlan – lilia, po serbsku

³ imam (z tur.) – teolog muzułmański.

⁴ efendi (z tur.) – tytuł uczonego, pan.

⁵ Begova dżamija – Gazi Husrev-begova dżamija, meczet z 1530 roku, najbardziej reprezentacyjny obiekt muzułmańskiej architektury sakralnej na Bałkanach.

⁶ čaršija – dzielnica handlowa.

⁷ Sebilj – studnia znajdująca się w centrum Bačaršiji – zabytkowej, rzemieślniczo-handlowej części Sarajewa.

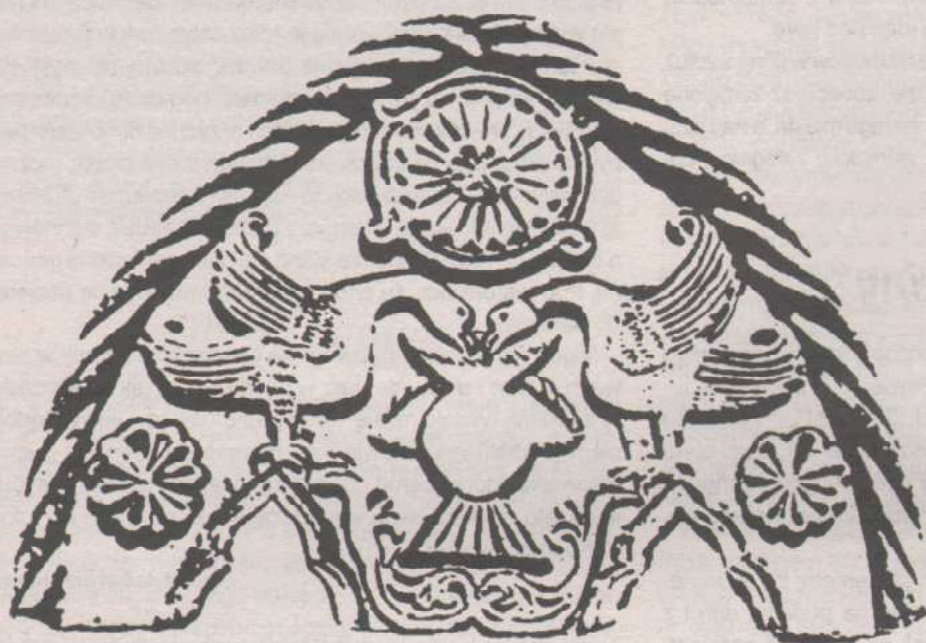
⁸ nieprzetłumaczalna gra słów: *duh* – to po polsku: duch, bystrość, dowcip; *duhan* – tytoń.

Mersad Berber (Bośnia i Hercegowina), *Ulema z Prusača*, z cyklu *Kronika Sarajewa*, 1975, drzeworyt barwny, 160 x 120 cm. Własność autora.

Reprodukcja Album



Vladimir Pištalo *List o Tesli, królu krasnoludków*



VLADIMIR PIŠTAŁO, ur. w roku 1960 w Sarajewie, jest autorem kilku zbiorów opowiadań, eseistą, twórcą Belgradzkiej Manufaktury Snów i jej Statutu, a także wydawcą trzech sygnowanych przez nią almanachów. Zaprezentowane teksty pochodzą z tomu *Witraż pamięci*, opublikowanego w 1994 roku.

CHORWACJA, 1999.

Fotografia Grażyna Borowik



Droga Miro,

Tym, co mi się najbardziej spodobało, odkąd moja stopa dotknęła rodzinnej ziemi Edgara Allana Poe, są „Światowe Nowości Tygodnia”. Natknąłem się na nie, podchodząc z presem i kawą do kasy jednego z filadelfijskich barów. Przy kasie wyłożono gazety. Spośród wielu tytułów wyróżniał się jeden: *Na palestyńskiej pustyni znaleziono czaszkę Goliata!* Na tytułowej stronie białą ogromną czaszkę z dziurą od kamienia na samym środku czoła. Był ze mną tubylec, Amerykanin, „człowiek wszytkowiedzący”.

Spytałem go:

– Czy naprawdę w Izraelu odnaleziono czaszkę Goliata?

– Coś ty... Co ci w ogóle strzeliło do głowy?! – odrzekło „źródło autorytetu”. W tej samej chwili dostrzegło wyraz moich oczu i spoważniało: – Żebyś mi, broń Boże, tego nie kupował!

Oglądałem się za „Światowymi Nowościami Tygodnia” niczym dzieciak za balonikiem. Straciłem sympatię dla „źródła autorytetu”, ale dla inkryminowanej gazety – w żadnym razie. Przeciwnie – sympatia moja wręcz wzrosła, gdy z tytułowej strony następnego numeru zabłysło „oficjalne zdjęcie” małżonki amerykańskiego prezydenta, Hillary Clinton, z dziećmi kosmitów w objęciach.

„Światowe Nowości tygodnia” obwieszczały, serdeczne więzi łączą prezydencką parę z istotami pozaziemskimi! Kosmici wygrali dla Clintona wybory prezydenckie. Niedawno miała, niestety, miejsce awaria statku kosmicznego. Rodzice tego spiczastego malucha zginęli. Dlatego Hillary Clinton postanowiła go zaadoptować i wychować jak własne dziecko. Z tego samego źródła dowiedziałem się później, że niewdzięczni kosmici porzucili Clintonów i zwrócili się ku byłemu kandydatowi na prezydenta, Rossowi Perrotowi. Dowodziła tego fotografia wielkonosego miliardera z Teksasu, w otoczeniu pary istot pozaziemskich.

Ze „Światowych Nowości Tygodnia” dowiedziałem się również, że sybirski aresztant, odsiadujący wyrok stu lat więzienia, został nareszcie wypuszczony na wolność. Bramy ciemnicy otworzyły się przed nim po upływie stulecia, odsiedzanego za zabójstwo dokonane w Moskwie, w roku 1893. Szczerebaty wesołek na fotografii, w futrzanej czapie przekrzywionej na bakier, oświadczył, że obecnie najważniejszą jego troską jest ożenek.

Ktokolwiek odwiedził Amerykę pamięta, że tutejsze muszle klozetowe wypełnione są wodą. Co sądzić o rodzinie, w której muszli klozetowej, właśnie w owej wodzie, zadomowił się duch? Twarz ducha chybocze na jej powierzchni i nawet spuszczać niezliczone ilości wody, nie sposób ją splukać.

Pozazdrościłem pracownikom redakcji, którzy stukając się w czoło rozmyślają, czym by tu wypełnić kolejny numer. Dostrzegłem w nich rodzaj demiurgów niższego szczebla. Ponownie zwróciłem się do „źródła autorytetu” z następującym pytaniem:

– Jaki gatunek ludzi pracuje w tego rodzaju gazetach?

– Dobrze opłacany gatunek ludzi! – odparło.

Jakże by inaczej. Niełatwo jest czynić cuda regularnie co tydzień. Mojej ulubionej amerykańskiej gazecie można jednak zarzucić niejaką schematyczność: zbyt wiele duchów, poważny nadmiar istot pozaziemskich! Poza tym mankament, który złośliwcy nazwaliby prawdziwym przeznaczeniem dziennikarstwa: uroda tekstu nazbyt często ogranicza się do tytułów i podpisów pod ekskluzywnymi zdjęciami. Teksty mają do powiedzenia niewiele ponad to, co zapowiadają tytuły. Spójrzmy, jakie opowieści snują nam niektóre z owych tytułów. Na przykład:

Kangury-ludożercy spożyły 27 Australijczyków! Gospodyni domowa z Oregonu odnalazła mumię morskiej syreny (plus nader przekonujące zdjęcie)! Tysiąc pięćset dzieci przemycano do USA w arbuzach! Nowa, supertajna fotografia agencji NASA ukazuje kamienną ludzką głowę z Marsa – dowód na to, że ludzie żyli tam przed 200.000 lat! Chłopiec zabił swą matkę papierowym samolotkiem!

Panią N.N. spotkało nieszczęście przeżycia śmierci klinicznej – i szczęście dotarcia w owej chwili do Raju! I jak myślicie, co sobie z Raju przyniosła? Tuż po przebudzeniu, na szpitalnym łóżku, kobieta prezentuje fotoreporterowi garść pełną złota.

Złoto przedstawia wielką wartość, nieporównywalną jednak z górą diamentów, którą nurkowie odnaleźli u wybrzeży Danii. Nurkowie ci dokonali najprzyjemniejszego odkrycia w swoim życiu.

Nieprzyjemne natomiast jest oglądanie fotografii ludzi, którym wyrastają rogi. Najgorszy los spośród wszystkich rogatych ludzi spotkał pewną dziewczynkę z Południowej Afryki, której rogi wyrastają nawet z rąk i nóg. Wszystkiego razem 45 sztuk rogowych wyrostków!

Wspomniana dziewczynka nadal żyje i kocha życie... w przeciwieństwie do pewnego młodego angielskiego miłośnika ptaków, który popełnił samobójstwo, kiedy jego kanarek utonął w kieliszku wina.

Przynajmniej sam wydał na siebie wyrok!

Natomiast nieszczęśliwi Kolumbijczycy Jorge Perdramo i Rodrigo Salsedo zostali rozstrzelani całych 37 minut przedtem, zanim pluton egzekucyjny zdołał w nich trafić!

Czy to z „Nowości” dowiedziałem się, że tysiące ludzi codziennie piszą listy do Pana Boga i wysyłają je do Jerozolimy? Listy adresowane są: „Pan Bóg, Jerozolima, Izrael”, a podpisywane na przykład „Twój przyjaciel Jimmy”. Wielu nadawców nie przykleja znaczka, ufając że listy dotrą na miejsce za przyczyną boskiej interwencji.

Do tego dziwnego magazynu zabłąka się czasem coś „z życia gwiazd”, ale nie ma tego zbyt wiele. Podstawowym celem pisma – a cóż może być piękniejszego – jest kultywowanie ducha baśni. „Światowe Nowości Tygodnia” są gazetą średniowieczną, wszystko jest w nich możliwe. I to nie w duchu salonowego nadrealizmu, ale z ambicją głoszenia prawdy. Izabelli Allende przypisywane jest oświadczenie, że *północnoamerykański realizm magiczny* znajduje swój wyraz właśnie na łamach tego rodzaju magazynów.

– Czyż nie brzmi poetycznie wieść następująca: Najnowsze badania wykazują, że dziewięćdziesiąt procent wszystkich istot pozaziemskich to – krasnoludki! „Światowe Nowości Tygodnia” jako pierwsze odetchnęły z ulgą, kiedy przestępczość w Rzymie spadła o 62 procent, a to dzięki temu, że policja wzmocniła swoje regularne szeregi, rekrutując siedemnastu ludożerców, dzikich Mgrtosów z dorzecza Amazonki! Pośród tego rodzaju informacji pojawił się artykuł o jugosłowiańskim uczonym *Nikoli Telsi* (nazwisko przytoczone błędnie) – „człowieku, który wymyślił wiek XX”. Wielu potraktuje jako obrazę fakt, iż Tesla, człowiek nieomal sławny, pojawia się w towarzystwie krasnoludków, a także istot z odległych planet. Inni natomiast będą bronić tezy, że Tesla jest czołową postacią amerykańskiego realizmu magicznego, i że powinien nareszcie zająć należne sobie miejsce w szeregu innych istot mitologicznych. Pojawienie się jego krótkiej biografii pośród innych cudów naszego świata nie może być niczym innym, jak tylko dowodem na to, że Bóg jednakowoż odbiera listy wysyłane do Jerozolimy.

Twój Vladimir

Ciepło, zimno

PROLOG

Zdarzyło się, drogi czytelniku, że swoją pierwszą książkę, rozpoczętą jeszcze w czasach gimnazjalnych, zakończyłem słowami:

Uliczne defilady przygotowują prowincjonalną miejską atmosferę do przyszłych historycznych wydarzeń. Po cyrkowych paradach nadciągają w takt muzyki pobudzającej do placu armie sanatoryjnych pacjentów i wojennych inwalidów, popędzane przez niezliczonych uchodźców.

Widok oglupiały emigrantów, ubogich, poważnych i ofiarnych, połatane ubrania i bezładnie spiętrzone przedmioty powinny, zgodnie z tradycją... być przecuciem dymu i prochu, oznaką tylekroć przepowiadanego nieszczęścia. Zdeptane ulice wyczekują niebezpiecznego patosu przyszłych wstrząsających zdarzeń.

Minęło szesnaście lat. Zagapiony we własne słowa pytam samego siebie: Czy mogłem wiedzieć? Czy to możliwe, że czoła rozmyślały o pokoju, a potylicy przez cały ten czas pielegnowały myśl o wojnie? Opowiadania w pierwszej części tej książki śledzą rozkwit ciągle tego samego zła. Te opowiadania są świadectwem gromadzenia się chmur, wyjazdów przyjaciół z miasta. Mimo chodem odnotowują proces przeistaczania się człowieka w totemiczną bestię. „Co dzieje się z tymi, którzy odmawiają rozpoznania w sobie zwierzęcia?” pyta gdzieś Steven Dobbins. I odpowiada: „Zostają pożarci!”

Obrzydliwy jest człowiek. Zepsuty. Zło nie zna granic – szepcze mi przez telefon ukochny głos. – Potrzebne będą całe pokolenia, aby ponownie zaleczyć powietrze rozdarte granatami. I – w zgodzie z bałkańską, samospelniającą się przepowiednią – gdy tylko nasz świat się zabłądzi, zostanie na nowo rozdarty.

Daremnie ostrzega nas święty Paweł, że Błąd jest niezbędny, by Prawda została rozpoznana. Nie pocieszają nas teologiczne mądrości, że Zło i Dobro to lewica i prawica Boga. „Czymże są bowiem idee wobec grozy doczesności”, zapytałby Witkiewicz.

Zdarzyło się tak, że w drugiej części książki autor potężnie zakolysał się na belgradzkiej huśtawce, zeskoczył – i wylądował w Ameryce. Amerykę Federico Fellini nazwał „krajem otwartych przestrzeni i fantastycznych miast, położonych gdzieś na granicy pomiędzy Babilonem a Marsem”. Jest bardzo wielu europejskich intelektualistów, którzy ironiczny stosunek do Ameryki uważają za swój obowiązek. Ten pośpiech, z jakim oznajmiają, że to „ziemia bez duszy” jest mocno podejrzanym. Bo może owej duszy brakuje w okularach obserwatorów? Przypomnijmy – to te same okulary, które na płonących Bałkanach nie dostrzegały niczego, prócz sentymentalizmu i sensacji. Dla tych okularów zrozumienie byłoby tym samym, co zintymizowanie. W obu przypadkach – o ileż bardziej zajmujące jest popisywanie się oryginalnością.

I nadszedł Koniec Czasu.

I spadła płonąca gwiazda.

I trzecia część wód przemieniła się w krew.

Ciągle mi się wydaje, że Europa na byku – to mój rozum na moim sercu, które wierza podstępnie i zniechęca. Boli na każdą myśl o Bośni. Zdarzyło się coś okropnego. Tysiące Charonowych łodzi przewożą umarłych przez niebo. Z trzech moich miast – Sarajewa, Mostaru i Belgradu – dwa zostały unicestwione. Czy to naprawdę zadanie dla pisarza – zgadywać czy ci, którzy je zburzyli, spokojnie umrą we własnych łóżkach? Czy wymieniając przez megafony imiona tych, co zasługują na zapomnienie – nie uczysz im własnego imienia? I czy takie zło pozostaje bezimienne, nawet wówczas, gdy ty sam nazwiesz je po imieniu?

O sytuacji w trzecim moim mieście najbardziej intymnie, być może, mówi króciutki, końcowy fragment książki, ten, który wyraża tęsknotę za zmarłym wstaniem, otrzeźwieniem z wściekłości, za chwilą, gdy uświęcone Słowo miłości ponownie zabrzmi na Wzgórzu rozmyślań, bo takie imię Bóg przeznaczył wyniosłej twierdzy Kalemegdanu.

Sufiści odnotowują, że Chłód i Ciepło postanowiły się spotkać, aby się wzajemnie łagodzić i wspomagać. Wówczas ludzie poczęli się żalić: w naszych czasach nic nie jest ani zimne, ani gorące, wszystko jest letnie. Słyszając to, Chłód i Ciepło oddaliły się od siebie, aby się już na bardzo długo nie zbliżyć.

W atmosferze, w której dorastałem, rozmaite książki składały się na jedną kulturę. Od Katolicyzmu nie dalej było do Prawosławia, ani nie bliżej do Islamu. Gdy ta sytuacja skończyła się tak tragicznie, najmniej stracili ci, którzy nie czytali niczego. Nie musieli, ani – siłą rzeczy – nie mogli, wyrzec się żadnej formy tolerancji. Narody Księgi wierzą zgodnie, że nie wolno czynić bliźniemu tego, czego nie chcesz, aby wam uczyniono. Hilel powiedział, że to jest istota żydowskiej Nauki, a cała reszta to tylko komentarze. Prorok Mahomet uważał, że nie ma wiary ten, w którym nie ma życzliwości. Serbsko-bizantyjski klasztorny skryba przekonywał: Ludźmi będąc, łaskawie miłości... Przeklęty, który przeklina, błogosławiony, który błogosławi.

I znów się okazuje, że nie istnieją wieczne zasady, które nie zachwiałyby się, gdy tylko zostaną zastosowane. Moralność, jak się wydaje, jest rzeczą służebną, a demagogia – wieczną. Pozostaje nam tylko zdziwienie, że tak wiele cywilizacyjnych iluzji zależy od niezauważania jednych rzeczy i od udawania, że inne nie przydarzyły się nigdy.

Vladimir Pištalo

Przełożyła Maria Dąbrowska-Partyka

Mihajlo Pantić TV

MIHAJLO PANTIĆ, ur. w roku 1957 w Belgradzie, autor 10 tomów prozy i krytyki, redaktor ważnych czasopism literackich. Powyższe opowiadanie pochodzi z tomu *Opowieści z Nowego Belgradu*, opublikowanego w roku 1994 przez belgradzkie wydawnictwo Vreme knjige.

Nie istnieje opowieść, w której nie wspomnielibyś o TV – mówi mi Milosav Tešić, poeta.

– Tak – odpowiadam – to są moje zaklęcia. Każda moja opowieść to odczytanie.

– Rozumiem – mówi Milosav Tešić. – Egzorcyzmy.

– No właśnie. Nie znalazłem innej metody na to, żeby uwolnić się od tego obскурnego, obsesyjnego przemiotu, oprócz nieustannego gadania o nim.

TV odebrała życie świata. Pozbawiła go wrażliwości, ograbiła z uczuć, zrobiła z nas ludzi bez oblicza, dokładnie takich samych jak wszyscy pozostali. Epatuje nas gestami niedorozwiniętego małowata (idioty, debila, imbecyla, kretyna), przemawia do nas jałowym szyfrem na zawsze utraconego i trwale nieobecnego znaczenia. Przypnijcie oczy. W tym jednym mgnieniu, wszystko jedno, z rana czy z wieczora, miliony ludzi w waszym mieście, na całym bożym świecie, bezmyślnie gapią się w tę otwartą puszkę Pandory – w ten prawdziwy symbol naszego stulecia. I toną, wciąż głębiej i głębiej, w tępych oszołomieniu. W letargu tym przestaliśmy już rozróżniać dobro od zła, prawdę od fałszu – na wylot, bez najmniejszego oporu, przenikają nas błękitnawe, całkowicie sterylne obrazy. To, co przedstawiają, nie ma najmniejszego znaczenia: pustynia, ciało bez głowy, puszcza gazowanego napoju, orkiestra symfoniczna, tłumy wrzeszczące na jakichś placach, seksualny stosunek antropoidów.

...Mój przyjaciel M. wyznał mi kiedyś, że próbował się onanizować, oglądając na szklanym ekranie golutkę, występującą w jakimś spocie „nie-babo-chłopa”, jak nazwał w którymś wierszu kobietę poeta Raša Livada. Człowieku, napaliłem się jak cholera – i nic! Nie mogłem do końca załatwić tej malutkiej, serdecznej i najzupełniej ludzkiej sprawy. TV jest przyrządem androgynicznym. Niegdyś świat był ciepły, lecz gdy włączono pierwszą TV, został definitywnie wyziębiony. Stał się pusty i zimny. Ludzie zagapieni w TV są nieobecni i ospali.

Staram się nie wpatrywać w tę „diabelską dupę” (tak nazywa TV Novica Tadić). Ale gdy już zasiądem, to jakby mnie kto zaczarował. Zmieniam kanały, jak w chorobliwym, płytkim śnie, i gapię się, całe popołudnia i wieczory, mechanicznie, w ogóle nie pojmując tego, co oglądam, aż nie zatrzeszczy pusty ekran. Dawka dzienna, jak przy każdym uzależnieniu, systematycznie narasta. W końcu potrzeba mi już kilku dni na to, żeby się po prostu rozebrać.

TV to nie jest zwykła iluzja ani po prostu fałsz; to czysta, doskonała pustka w obrazach. TV nigdy nie mówi niczego. Nawet podczas bezpośredniej transmisji jakiegoś wydarzenia (co do którego nigdy nie mam pewności, że miało miejsce naprawdę), a które – zwielokrotnione w mnóstwo przeźroczystych, sterylnych obrazów – po prostu wyparowuje bez śladu.

Po raz pierwszy oglądałem TV na początku lat sześćdziesiątych. Pamiętam doskonale: cały dzień upłynął w atmosferze nerwowych, nieomal gorączkowych przygotowań. Była niedziela. Jakoś tak późnym popołudniem ubraliśmy się wszyscy odświętnie, cała rodzina, i piechotą wyruszyliśmy na przedmieście do znajomych, którzy jako pierwsi w całym mieście kupili telewizor. Pierwsze, co zobaczyłem z oddali, to był człowiek na dachu domu, do którego właśnie zmierzaliśmy. Poruszał się ostrożnie, po samej kalenicy, niczym lunatyk. Sadowił antenę, a tamci w dole, przez szeroko otwarte okna pokrzykiwali: nie tak, pokręć, jeszcze nie, poczekaj, coś widać, o tak, trochę w lewo, pomalutku, o tak, dobrze, nie ruszaj, przykręć... O pierwszym zmroku, wszedłszy do pokoju, przeladowanego rzeczami i ludźmi, spostrzegłem magiczny kwadrat ekranu. Nie pamiętam już pierwszych obrazów, nie wiem, czy był to jakiś mecz (jak przez mgłę słyszę czyjś podniesiony głos, nieustannie wykrzykujący: Majer, Majer), czy też jeden z tych wczesnych, humorystycznych seriali, z powodu których całkowicie pustoszały ulice. Tak, jakby wszyscy mieszkańcy, w panice, ze strachu przed czymś ogromnym, nienamacalnym i bezrozumnym, zniechęca opuścili miasto. Jakoś wcisnąłem się pomiędzy stłoczone ciała i zafascynowany, mrużąc oczy z powodu krótkiego wzroku (zdaje się, że dopiero wówczas odkryto, że źle widzę), zacząłem wgapić się w obrazy dalekiego, nieznanego świata, być może dokładnie tak samo, jak ów chłopak z noweli Andrića, zatytułowanej *Fotoplastikon*. Wokół panowało milczenie, słychać było jedynie oddechy, ktoś ze starszych znacząco zakaszlał w obliczu tego cudu, który dokładnie w tej samej chwili, w której się z nim zetknęliśmy, unicestwił wszystkie inne cuda, obecne w naszym małym, prowincjonalnym życiu; wszystkie te cudowne, prawdziwe cuda... i zamienił nas, odtąd już na zawsze, w swych wiernych niewolników.

Pierwszy TV kupiliśmy, przeprowadziwszy się na Nowy Belgrad.

Czasami wyobrażam sobie, albo – lepiej powiedzieć – wymarzam taką oto scenę: Bóg zlikwidował program TV. Rozwścieczeni ludzie ze wszystkich Miast (ja widzę wtedy Nowy Belgrad) wynoszą na śmietnik swoje dotychczasowe relikwie i ciskają je na kupę. Kupa rośnie, zamienia się w górę, wyższą od wieży Babel. Ktoś rozpuścił pogłoskę, że na jej niewidocznym, niedosiężnym szczycie można porozmawiać ze Stwórcą, przyjąc tablice nowego przymierza. I wszyscy wspinają się po „szklanej górze” – jak powiedziałby Donald Barthelme – ześlizgują się z jej gładkich zboczy, próbując wciąż od nowa. Głupie marzenie, właściwie projekt niewystawionej i niewystawialnej sztuki TV.

Wieczorem, gdy go wyłączam, staję się jasnym punktem na czarnym polu i gasnę.

Przełożyła Maria Dąbrowska-Partyka



Aleš Debeljak **Zuchwały hymn na cześć powieści**

ALEŠ DEBELJAK, ur. 1961, słoweński poeta, eseista i tłumacz. Wykłada socjologię kultury i religii na uniwersytecie w Lublanie. Uprawia lirykę, m.in. zbiory: *Imena smrti* (1985, Imiona śmierci), *Minute strahu* (1990, Minuty strachu), eseistykę z dziedziny literatury, filozofii i socjologii, np. tomy *Pisma iz tujine* (1992, Pisma z zagranicy), *Somrak idolov* (1994, Zmierzch idoli), *Individualizam in literarne metafore naroda* (1998, Indywidualizm i literackie metafory narodu). Tłumaczy z literatury amerykańskiej, m.in. poezję Johna Ashbery'ego. Zajmuje się też pracą edytorską, przygotował antologię współczesnej poezji słoweńskiej *Prisoners of Freedom* (1994). W Polsce znany z przekładów wierszy i esejów, m.in. w „Literaturze na Świecie” i „Kraśnogrudzie” oraz tomu poezji.

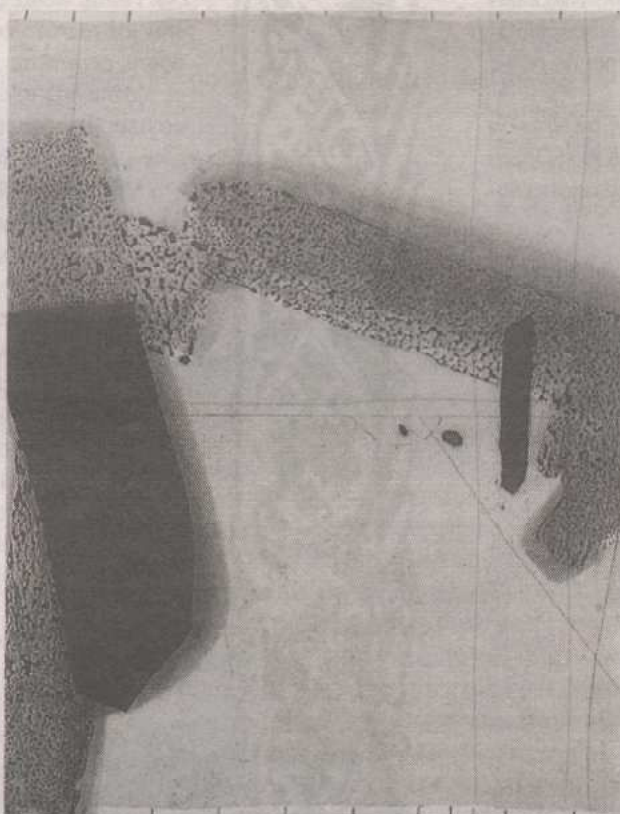
Śmierć powieści, zmierzch powieści, koniec powieści – to mniej lub bardziej synonimiczne określenia, które od czasów Hegla, a więc romantyzmu, czyli formacji moim zdaniem kluczowej dla zrozumienia sztuki XX wieku, pojawiają się jako formuły opisujące zjawisko wyczerpania i anachroniczności formy powieściowej; formuły prezentujące to zjawisko jako coś nieuniknionego, ostatecznego, a jednocześnie – co trzeba podkreślić – czyniące to w sposób coraz bardziej ortodoksyjny i doktrynerski. Krótko mówiąc: w tezie o zmierzchu powieści tkwią pierwiastki ideologii, które wciąż od nowa, w każdym pokoleniu, wpisuje na swych rozwianych sztandarach wcale nie tak mała liczba pisarzy, krytyków i komentatorów solidaryzujących się z grabarzami powieści. Dzieje się tak zwłaszcza pod koniec stulecia, pod koniec tysiąclecia, kiedy to poza powieścią, swój żywot miałoby zakończyć wiele jeszcze innych pojęć z dziedziny estetyki, socjologii, polityki.

Sam o wiele chętniej zaliczam się do grona wróżbitów bardziej zapewne wytrwałych, zainteresowanych perspektywą wieczności, czyli do tych, co sławią bezgraniczne możliwości powieści jako niewyczerpanej formy artystycznej, upatrując w niej życiodajne źródło także i w tym stuleciu, rozpoczętym w nastroju euforii i optymizmu, a zakończonym duchową pustką. Jeśli dysonans ten uda się przewyciężyć, wypełnić lukę duchowej anomii, stanie się to z pewnością za sprawą różnorodnych modeli powieści. Nie powiem po prostu, że „dopiero przyszłość pokaże” prawdziwy stan rzeczy, jestem bowiem głęboko przekonany, iż to właśnie powieść potrafi skutecznie (i w sposób atrakcyjny) podjąć rzuconą jej rękawicę czasu. W czym widzę pozytywną reakcję na wyzwanie współczesnego *fin de millenium*? Przede wszystkim w tym, że los zewnętrznego pozatekstowego świata społeczno-historycznego stanowił źródło powieści określonej jako „epopea świata mieszczańskiego”, a więc – będącej główną formą literacką ery nowoczesnej, dzięki której Europa zbudowała swoją świadomość...; to tylko stare ogólniki z arsenału teorii literatury, adekwatne, mądre, ale nie znajdujące zbytniego zastosowania w moich obecnych rozważaniach. Dlaczego? Opierają się bowiem całkowicie i wyłącznie na tradycji europejskiej. Sądzę – jeśli uznamy, iż w twierdzeniu o świecie jako globalnej wiosce jest nieco prawdy – że właśnie u progu nowej epoki konieczne trzeba na sytuację powieści spojrzeć z szerszej, transeuropejskiej perspektywy. Powinniśmy wobec tego przywołać w dyskusji te formy powieści, które krytycy próbują zaszufladkować jako powieść postkolonialną. Co rozumiem przez to pojęcie?

W roku 1996 George Steiner, jeden z ostatnich polihistorów, powszechnie szanowany, wyrafinowany krytyk nie tylko powieści, ale i cywilizacji europejskiej w ogóle, przenikliwe spoglądający w przyszłość, ubolewał na forum Brytyjskiego Stowarzyszenia Wydawców nad zmierzchem europejskiej powieści. Jednak to, że się mylił uzmysławia – jak mi się wydaje – literacka rzeczywistość, z którą można się zetknąć nawet podczas krótkiej przechadzki po dobrze zaopatrzonych księgarniach; rzeczywistość proponująca nam różnorodne, często odmienne i konkurencyjne wobec siebie gatunkowe melange, krzyżówki i hybrydy form powieściowych. To właśnie na tę proteuszową naturę powieści stara się nam zwrócić uwagę owo ograniczenie, ów swoisty kaftan bezpieczeństwa, jakim jest termin „postkolonialna powieść”.

Na czym polega jej siła? Przede wszystkim na tym, że powieść ta nie koncentruje się już, albo lepiej – nie poprzestaje – na instrumentalnym, techniczno-formalnym dialogu kultur, jaki praktykowali Henry James, Ian Foster i inni pisarze wywodzący się z tradycji anglosaskiej, którzy sytuowali się na samej granicy monopolu dziedzictwa europejskiego, tworzyli bowiem w klimacie transeuropejskiego imperium, gdzie słońce nie zachodziło nigdy. Aby w nieodległej przyszłości mógł zaistnieć postkolonialny, piękny, zręczny i powabny dialog kultur, trzeba było poczekać aż do lat pięćdziesiątych i sześć-

dziesiątych, czyli do czasu antykolonialnych walk o niepodległość krajów Trzeciego Świata. Kiedy wiele byłych kolonii uzyskało suwerenność, kiedy nastąpił zmierzch wszystkich imperiów... porzućmy jednak na razie rozmyślania o noworodzącym się imperium *pax americana*: to by nas zaprowadziło zbyt daleko; skupmy się raczej przez chwilę na tej pustej przestrzeni, która powstała wówczas, gdy z ambicji kontrolowania geograficznych terytoriów i ludzkich dusz zrezygnowały już Paryż i Londyn. Nagle pojawiła się wolna przestrzeń, a zajęła ją – jeśli można tak powiedzieć – swego rodzaju agorafilia, miłość do otwartej przestrzeni, którą potrafiła wyrazić powieść postkolonialna. Jednym z najbardziej znanych jej przedstawicieli jest oczywiście Salman Rushdie, ale naturalnie wielu pisarzy również wywodzi się z tej tradycji, na przykład Vikram Seth, Derek Walcott, Wole Soyinka, Caryl Phillips. Można by wreszcie powiedzieć, że również tacy twórcy, którzy przestali pisać w kolonialnym języku (w przypadku Ngugi Wa Tonga był to angielski, później, gdy już zasłynął jako autor postkolonialnych powieści, zastąpił go tubylczym językiem kikuyu), ucieleśniają jeden z największych, bolesnych paradoksów postkolonialnej mentalności. W istocie



Dimče Nikolov (Macedonia), *Region 41*, 1994, akwaforta z akwatintą, 100 x 70 cm, Międzynarodowe Triennale Grafiki, Kraków. Reprodukacja Katalog

bowiem wielu pisarzy przyjmuje punkt widzenia, którego doskonałym przykładem jest dorobek powieściowy Salmana Rushdiego. Co stanowi klucz do zrozumienia struktury powieści postkolonialnej? Nie jest nim ten neutralno-formalny dialog wynikający z konfrontowania różnorodnych kultur, nie chodzi też o tkankę narracji, w której wszystkie uwikłane w dialog kultury zachowują swoją rozpoznawalną tożsamość – by posłużyć się tym wieloznacznym określeniem. Wprost przeciwnie.

Powieść postkolonialna idzie o krok dalej, w istocie wyrusza w nieznane, na obszary „jeszcze nie oznaczone na mapie”, których nikt z krytyków-kartografów jeszcze nie wymierzył, na terytorium *ubi leones*, jak w średniowieczu mówiono o ziemi nie tkniętej ludzką stopą. W pokoleniu pisarzy postkolonialnych można zauważyć chęć odrzucenia inspiracji wyłącznie jedną tradycją, jednym lingwistycznym, kulturowym i cywilizacyjnym dziedzictwem, jednocześnie zaś dążność do osiągnięcia takiego punktu, w którym ustanowią oni pewną interkulturową kompetencję. Co to znaczy? Albo lepiej: czego nie oznacza? Tego mianowicie, że dotykamy jedynie powierzchni różnorodnych kultur, że robimy zakupy – jakby nas próbował przekonać Jean-François Lyotard – i w Hongkongu, i w Paryżu, że oglądamy tę samą telewizję w Osijeku, na Alasce, w Buenos Aires i te same, wyświetlane na całym świecie, filmy, narzucające pewną formę komunikowania, zmierzającą do unifikacji. Nie, nie, to jest powierzchowne stwierdzenie, tu nam ono nie wystarcza. Interkulturowa kompetencja postkolonialnych powieści – jak zresztą każdej dobrej literatury – sięga o wiele głębiej, dlatego ich oddziaływanie można zrozumieć dopiero po jakimś czasie; jest bowiem potrzebny pewien dystans, to akurat opóźnienie krytyki, o którym mówię i którego w ostatecznym rozrachunku prawdopodobnie ja sam również doświadczam.

Interkulturowa kompetencja oznacza, że można swobodnie poruszać się wzdłuż linii południków więcej niż jednej kultury, z ciekawością i dociekliwością przenikać w inne życie, w warstwy odmiennego doświadczenia, nie tracąc się w następstwie szoku, jaki powoduje każde przekroczenie granicy. Że można wzbogacać język, w którym się pisze, przez włączenie okruszków, większych części, elementów, struktur składnikowych innych języków, tworzących duchowy kosmos pisarza. Doskonałym przykładem jest tu z pewnością angielski, który pozostając *lingua franca* współczesnego świata, wkrótce, w nadchodzącym tysiącleciu, podzieli się jednak na wiele partykularnych języków; egipski angielski różni się bowiem dramatycznie od angielszczyzny indyjskiej, ta zaś ma zaskakująco mało wspólnego z angielskim, jakim posługują się mieszkańcy południowych stanów USA, choć cały czas mówimy o „tym samym języku”. Innymi słowy: partykularne tradycje kulturowe wpływają na sposoby istnienia wizji powieściowych. Sposób, w jaki Salman Rushdie wykorzystuje w swojej twórczości inspirujące elementy europejskiej historii i kultury – jako całkowicie przecież przyzwyczajony i, jak sam mówi, wdzięczny spadkobierca tradycji europejskiej – to jednocześnie sposób umożliwiający mu ogarnięcie hinduistycznej tradycji religijnej oraz islamskiej mitologii, z drugiej zaś strony – radykalnych ruchów wyzwoleniczych ucieleśnianych przez gandyzm ze wszystkimi jego politycznymi sprzecznościami: wszystko to można znaleźć w indyjskiej powieści postkolonialnej, stanowiącej odzew na boom powieści latynoamerykańskiej. Jeśli *Dzieci północy* są swego rodzaju postkolonialnym wariantem *Stu lat samotności*, to w konfrontacji tych dwóch różnych, a jednocześnie pod względem struktury dość podobnych do siebie powieści, można właściwie doszukać się tej tendencji, która, jestem o tym przekonany, będzie dominowała także i w przyszłości.

Co jest jej główną cechą? To mianowicie, że nie poddaje się naciskowi minimalizmu, prezentującego fragmentaryzację wiedzy, społeczny podział pracy, koncentrację na ironii i racjonalizmie, sięgającego także i po inne środki ze skarbca tradycji późnomodernistycznej. Także i to, że z wielkim epickim entuzjazmem, z wielkim emocjonalnym zaangażowaniem wyrusza w nieznane, by odkrywać obszary, gdzie powieść bez trudu integruje krytykę stosunków politycznych z intymnym wyznaniem, a jednocześnie rehabilituje niektóre stare wzorce narracyjne, np. wiejską kronikę, manifest polityczny albo detektywistyczną opowieść; krótko mówiąc te gatunki, które, używając pejoratywnych określeń – kryminały i romanśidla – odstawia się na półki kultury masowej. Postkolonialny styl pisania dowodzi, że sam podział na kulturę elitarną i masową jest bardzo problematyczny; co więcej – podział na tradycję europejską i transeuropejską w dzisiejszych czasach stoi zdecydowanie pod znakiem zapytania. Jest więc rzeczą naturalną, iż my, ludzie wykształceni wyłącznie w tradycji europejskiej mamy nieco problemów z tym, by skoncentrować się na tych oknach, przez które, zdziwieni, zaniepokojeni i oniemiałi, możemy spoglądać na nową ziemię, nowe światy rozciągające się przed naszymi oczami; światy wyrosłe spod piór pisarzy, dla których paszporty to tylko zło konieczne lub przypadkowe obywatelstwo, nie zaś znak kulturowej tożsamości.

Co to oznacza dla Słowenii? Dla słoweńskiej tradycji? W mojej skromnej opinii przede wszystkim to, że przyszłe powieści – z jednej strony pokładające nadzieję w życzliwości czytelników, z drugiej zaś we wrażliwości interpretujących je profesjonalnych krytyków – muszą zapewne pozbyć się tego dziedzictwa, które w okresie późnego modernizmu przygniatało „niczym zmora mózgi żywych ludzi”. To zaś oznacza, przynajmniej moim zdaniem, że ich twórcy powinni zrezygnować z fragmentaryzacji, partykularyzacji, koncentrowania się na jednym drobnym epizodzie fabularnym, z opowiadania elitarnych historii, a dać się porwać tej żywotnej tradycji, która w powieściowym dziedzictwie Europy, i oczywiście w powieści postkolonialnej, nigdy całkowicie nie zanikła. Jest to tradycja powieści będącej całościowym obrazem codziennego kosmosu.

Dlaczego do dzisiaj nie powstała na przykład żadna wiarygodna estetycznie, a zarazem poznawczo wnikliwa powieść o tak ważnej i w swoich konsekwencjach prawdopodobnie jeszcze nie do końca wymiernej cezurze politycznej i kulturowej w historii Słowenii, jaką było uzyskanie niepodległości w 1991 roku? Proponuję odpowiedź „pro wizoryczną”: ponieważ ambicje niezbędne do tego, by tak silny wstrząs można było przekonująco opisać w powieści, są tak wielkie, iż bardziej kompetentnym twórcom wiąże ręce, mniej zaś kompetentnych odsyłają w te rejony literatury, gdzie ograniczenia

wizji literackiej dokonują się już za sprawą samej formy, czyli poprzez wybór jakiegoś stosunkowo wyraźnie zdefiniowanego gatunku, najczęściej powieści kryminalnej.

Fakt, że my, Słoweńcy, nie mamy powieści, która by sugestywnie mówiła o naszej niepodległości, a zarazem, jak już powiedziałem, koncentrowała się na kwestiach egzystencjalnych i poznawczych, dowodzi zapewne rozległości szkód, jakich w Słowenii doznała wyobraźnia pisarzy pod silnym, często płodnym – a dziś już chyba niewielkim – wpływem reizmu, ludyzmu, kamizmu i innych neoawangardowych poetyk, które panowały w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Starły się one przede wszystkim rezygnować z fabuły, z arystotelesowskiej dramaturgii, z wyraźnej charakterystyki postaci...; głównie dlatego, że w ruchach awangardowych istnieje jakby pierwotny strach przed możliwością wtargnięcia sentymentów, emocji i psychologizmu, to znaczy – wszystkiego tego, co modernizm, w swoim czasie zapewne i słusznie, z dużą nonszalancją odrzucił.

Dzisiaj sytuacja wygląda inaczej. Sądzę, że warto wskazać te pierwiastki powieściowych tradycji Europy (jak to do pewnego stopnia uczyniła powieść postkolonialna), które kryją w sobie nadal żywe impulsy, a te z kolei pomogą rozwiązać zagadkę czasu. Mimo ogromnej produkcji literackiej pozostają one niewykorzystane, choć ich atrakcyjność wcale nie maleje; z jednej bowiem strony powieść jest świadkiem swojego czasu, ma więc, rzecz jasna, do pewnego stopnia charakter reportażowy, dokumentalny, opisowy; z drugiej zaś w jej tkance fabularną wpisane jest wizjonerstwo, czyli wymiar transhistoryczny, znany jeszcze powieści z początku epoki modernizmu. Innymi słowy, jest to pewien mityczny wszechświat, w którym to, co zrobimy dzisiaj, w specyficzny sposób zyskuje sens jutro. To w tym wymiarze powieści dochodzi do głosu niebezpiecznie piękna autentyczność; to w nim mamy

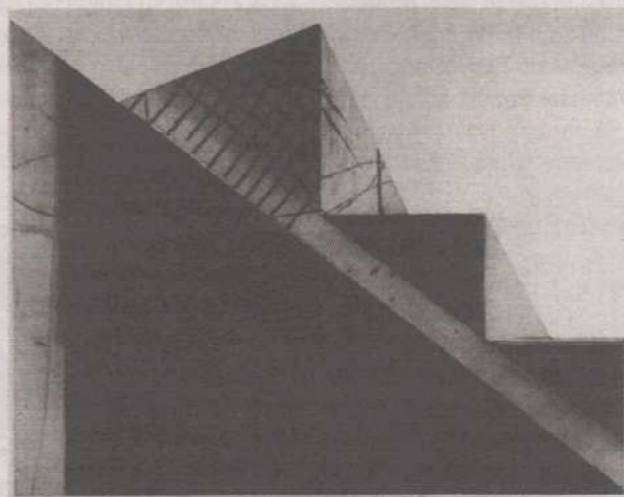
do czynienia z innym pojmowaniem czasu: nie z jego linearnym postępowaniem będącym domeną polityki, projektów społecznych czy ideologicznych, lecz z czasem biegnącym po obwodzie koła; czasem, w którym pojawia się wiele archetypów – strach, obłęd, miłość, nadzieja i smutek – jednym słowem z czasem kształtującym stany psychiczne nie podlegające kontroli racjonalnej mowy.

A ponieważ istnieje wiele takich stanów psychicznych, które można zrozumieć – poznać ich tajemnicę – dopiero w szerszym kontekście zjawisk społecznych i politycznych; w kontekście takich katastrof, jaką był (co powszechnie wiadomo) barbarzyński rozpad Jugosławii, i ponieważ doskonale współgra z nimi epicki rozmach powieści, to bardzo wątpię, że powieść kiedykolwiek zostanie skazana na śmierć.

Przełożyła Joanna Pomorska

Bogdan Dimovski (Słowenia), *Pamięć o „E”*, 1994, sucha igła, 79,5 x 110 cm, Międzynarodowe Triennale Grafiki, Kraków.

Reprodukcja Katalog



Bogdan Rogatko Mit narodu w postkomunistycznej pustyni

Na pozór – jeszcze jedna praca zbiorowa, przygotowana solidnie w uniwersyteckim wydawnictwie: *Przemiany w świadomości i kulturze duchowej narodów Jugosławii po roku 1991*, będąca plonem jednego z naukowych projektów, kierowanych przez profesora Juliana Kornhausera. Ale niezwykle frapujący i stałe, można powiedzieć niestety, aktualny temat, oraz przynajmniej kilka z publicystycznym zacięciem napisanych rozpraw (czy wręcz esejów) pozwalają uznać wspomnianą książkę za jedną z najciekawszych publikacji kilku ostatnich lat dotyczących problemów narodów „postjugosłowiańskich”, obok np. wydanej w roku 1995 książki Joanny Rapackiej *Godzina Herdera. O Serbach, Chorwatach i idei jugosłowiańskiej*. To jakby plon pracy wręcz reporterskiej autorów, pracujących w Instytucie Filologii Słowiańskiej UJ, którzy przez jakiś czas zbierali skrupulatnie materiały na podstawie współczesnego czasopiśmiennictwa, publikacji historycznych, kulturoznawczych i socjologicznych, tekstach literackich, w tym szczególnie, rzecz można, hagiograficznych – w krajach byłej Jugosławii.

Nie ukrywam, że najbardziej zainteresowały mnie teksty o charakterze raczej socjologicznym niż historycznoliterackim. Na pierwszym miejscu więc wymienilibym pasjonujący wręcz esej o roli Serbskiej Cerkwi Prawosławnej w okresie ostatnich piętnastu lat. Ale specjalnej uwadze polecam też artykuł o słoweńskich pisarzach (*Słoweńscy pisarze przed sfinksowym obliczem historii*), o retoryce chorwackich oraz serbskich tekstów o tematyce narodowej, krytyce rzeczywistości w chorwackim życiu kulturalnym czy o wojnie w najnowszej prozie serbskiej i dominacji martyrologii w chorwackiej poezji, wreszcie o problemie „chorwackiego Katynia”, czyli tragedii w Bleiburgu.

Autorzy skupili się na istotnej dominancie przełomu w świadomości byłych Jugosłowian: na formowaniu się świadomości narodowej poszczególnych nacji w ostrej, niekiedy wręcz patologicznie ostrej, opozycji do sąsiednich narodów. I to cechuje wszystkie te narody, przez kilkadziesiąt lat tworzące sztuczny, iluzoryczny pod względem narodowościowym twór jakim była Jugosławia Tity. Najostrożniej jednak występuje od dziesięciu lat w świadomości narodu serbskiego, do czego przyczyniła się w dużej mierze kampania Cerkwi Prawosławnej. Myślenie o narodzie zostało zastąpione zbiorem historycznych i ahistorycznych stereotypów, krytyczne wyobrażenie przeszłości

i racjonalny ogląd rzeczywistości zastąpił rozprzestrzeniający się w świadomości większości społeczeństwa MIT Narodu. Czy będzie to pogląd o „niebiańskim samookreśleniu narodu serbskiego”, czy wyobrażenie Chorwacji jako „dziecka Boga”, wspólnym mianownikiem takiej narodowej mitologii jest mesjanistyczna wizja historii, poczucie poświęcenia dla ogółu, dominacja martyrologii i odindywidualizowania osoby ludzkiej. Charakterystyczne, że symbolika religijna szybko przenika do politycznej propagandy, jest w nader oczywiście uproszczony i instrumentalny sposób przyswajana przez retorykę przywódców państwowych. W najnowszych dziejach rola Kościoła, czy to katolickiego w Chorwacji, czy w sposób jeszcze bardziej drastyczny Serbskiej Cerkwi stała się politycznie dwuznaczna, bo zbyt w politykę uwikłana!

Oplakane dla kultury i ludzkiej duchowości skutki tego światopoglądowego zawirowania tak charakteryzuje najwybitniejszy współczesny pisarz słoweński, Drago Jančar, poszukując przyczyn rodzącej się nostalgii za komunizmem. Uważa on więc, że nostalgia ta rodzi się „dlatego, że wraz z twórczym zniecierpliwieniem i zrozumiałym, długo oczekiwanym krytycyzmem, rozpleniać się zaczęła demagogia i wszelkiego rodzaju głupota. I w taki oto sposób powstała przestrzeń dla nowych władców, pochodzących w wielu wypadkach z dawnego klucza.” No cóż, to zjawisko jest niestety charakterystyczne nie tylko dla narodów byłej Jugosławii...

W próżni ideologicznej, jaka powstała po erozji socjalistycznych złudzeń i iluzji, po upadku marksistowskiej demagogii, wyrastają demony przeszłości i święcą triumfy socjotechniczne talenty politycznych cwaniaków. W takiej postkomunistycznej próżni przyszło działać i tworzyć byłym jugosłowiańskim intelektualistom. Nie wszyscy ulegli ogłupiającej mitologii, bez względu na miejsce zamieszkania i narodową przynależność. Im to, odważnym i szlachetnym intelektualistom serbskim i chorwackim, słoweńskim i macedońskim, poświęcona została przede wszystkim ta KSIĄŻKA.

... Ani data przegranej batalii o Krajinę i Wschodnią Sławonię – pisze Maria Dąbrowska-Partyka – ani też data nieuchlebnego porozumienia w Dayton, ani nawet data wygranych przez opozycję wyborów lokalnych nie zakończyły owego pędu Miłosevicia i jego zwolenników w stronę narodowej katastrofy i towarzyszącego jej odium nacjonalistycznej harby. Jaki będzie finał tego, jak powiedziałby Andrić, dobrowolnego i niepowstrzymanego pędu do zguby? Pozostaje nam żywić nadzieję, że w ostatecznym rozrachunku wyłoni się z tego dramatu *civilno društvo*, o które przez lata wielu Serbów, o różnych orientacjach intelektualnych, o rozmaitym stosunku do problemów religijnych i światopoglądowych, walczyło z takim poświęceniem i tak wytrwale.

PRZEMIANY W ŚWIADOMOŚCI I KULTURZE DUCHOWEJ
NARODÓW JUGOSŁAWII PO 1991 ROKU,

Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1999.

Camera obscura

W wydanej niedawno powieści Pavla Pavličicia *Plac wolności* czytamy w notce o chorwackim autorze, że jest doktorem filozofii i zajmuje się literaturą porównawczą. Nie wiem, kto to wymyślił: wydawca czy tłumaczka, ale na pewno nie jest to zgodne z prawdą. Pavličić jest znanym powszechnie profesorem literatury chorwackiej na Uniwersytecie Zagrzebskim, specjalistą od baroku i chorwackiej wersyfikacji, a przy tym jednym z najciekawszych pisarzy współczesnych. Należy przypuszczać, że błąd ten powstał z dosłownego przekładu z chorwackiego: „studiował na Wydziale Filozoficznym, gdzie się doktoryzował; pracuje w Zakładzie Komparatystyki”. Otóż filologia jest częścią Wydziału Filozoficznego, a miejsce pracy nie świadczy o dorobku naukowym danej osoby. Świadczy to jednak o braku językowych i merytorycznych kompetencji autora notki. B.

Podobnym brakiem kompetencji charakteryzują się niemal wszystkie noty biograficzne, zamieszczone w niewielkiej i skromnie wydanej antologii współczesnej liryki chorwackiej *Żywe źródło*. Nagminnie filozofia myślenia jest z filologią, a wśród przedstawionych tu poetów roi się od profesorów. Autorce tej książki, Lucji Danielewskiej, myli się jednak chorwackie określenie: „profesor języka i literatury”, oznaczające absolwenta filologii uniwersyteckiej (tę formułę wypisuje się na dyplomie) z profesorem na uniwersytecie. B.

W zbiorze szkiców o literaturze serbskiej i chorwackiej pt. *W świecie wyklętych* Grzegorz Łatuszyński, tłumacz i popularyzator – jak siebie sam określa – nie unikną wielu potknięć. O Danilu Kiżu dowiadujemy się, że jest Czarnogórcem, choć wybitny pisarz jugosłowiański urodził się w Wojwodinie. Wprawdzie jego matka była Czarnogórką, ale nigdy Kiś nie mówił o sobie, że jest Czarnogórcem, akcentując raczej swoje żydowskie pochodzenie po ojcu i przypominając węgierskie korzenie. Nie można mieć pretensji do Jana Wierzbickiego, że nazywa Petricę Kerempuha, bohatera ballad Krleży, Pietrkiem, skoro to imię jest właśnie zdrobnieniem od Piotra. Znany tłumacz słoweński, Jeż nie używa imienia Nikołaj tylko Niko, tak się podpisuje i pod takim imieniem jest znany w Polsce. Autor szkiców nie poprawił, niestety, ani dawnych wersji swoich recenzji, ani ewidentnych i dość przykrych literówek. Stąd czytamy o Kiżu jako młodym, wielce obiecującym pisarzu, choć od dawna jego dzieła znane są na całym świecie, a jego samego nie ma już wśród żywych. W notce o samym Grzegorzu Łatuszyńskim zawarta jest informacja o ukończonej przezeń bogemistyce (zamiast bohemistyce) oraz specjalizacji serbocroatystycznej (raczej serbsko-chorwackiej), o licznych tłumaczeniach, m.in. powieści Pekicia *Pielgrzymka Arseniego Njegovana* (zamiast: Arsenijego). B.

Zachciało się nam porównywać tłumaczenia wierszy chorwackiego poety Andriela Veluticia, opublikowane w wyborze *Dusze na klonowym kiju* przez Grzegorza Łatuszyńskiego. Porzucaliśmy jednak na wierszu, pochodzącym z tomu *Gdy będę wielki jak mrówka*. Chodzi o pierwszy utwór z tej książki pt. *Będę budować jak ja chcę*. Wyszło na to, że tłumacz z jakichś względów zmienia sens poszczególnych fraz. W oryginale jest: „grzech pierworodny mojej matki, mojej matuli, ni mojego kraju rodzinnego” W przekładzie natomiast czytamy: „grzech pierworodny mojej matki, mojej szwagierki, ani inne gry i gierki”. Ciekawe. I dalej – w oryginale: „Ja, tylko ja i nikt inny, winny jestem za to moje stapanie na ziemi, za te swoje narodziny. Za tę swoją wieżę czyli nic”. Tłumacz interpretuje: Ja – tylko ja, i nikt inny, odpowiadam za to moje postępowanie, za to moje stanie. Za to moje wierzę, za to zero, mówiąc szczerze” (trochę wygląda to na błąd drukarski: zamiast wieżę – wierzę, ale jaki smakowity!). Dalej już nie porównywaliśmy. B.

W wydawnictwie Drzewo Babel (Warszawa 1999) wyszła w pięknej szacie graficznej książka Grzegorza Brzozowicza pt. *Goran Bregović. Szczęściarz z Sarajewa*. Niestety, w przekładach piosenek Gorana aż roi się od błędów. Ze względu na szczupłość rubryki tylko jeden przykład: „Kopciuszek” (po serbsku *Pepeljuga*) został przetłumaczony jako „popielniczka” (po serbsku *pepeljara*). Wyrazy podobnie brzmiące i o wspólnym rodowodzie, ale gdzież popielniczce do Kopciuszka? Nie brak również błędów rzeczowych. Prawdziwym curiozum jest informacja, że pieśń *Lijepa naša domovino* (Piękna nasza ojczyzna) to serbska pieśń nacjonalistyczna, podczas kiedy jest to źle widziany przez władze w czasach Jugosławii stary utwór chorwacki, a obecnie hymn. Z kolei patriotyczna pieśń serbska z czasów I wojny światowej *Tamo daleko* (Tam daleko) to według autora właśnie hymn chorwacki. Rezultat tego pomieszania można by porównać z przypisaniem Rosjanom *Boże, coś Polskę* a Polakom *Wołga, Wołga, mat' rodna*. Nie szata zdobi książkę. O.

Joanna Rapacka
LEKSYKON TRADYCJI CHORWACKICH
 Sławistyczny Ośrodek Wydawniczy,
 Warszawa 1997

Książka ta właściwie nie należy już do wydawniczych nowości. Trudno jednak przecenić jej wartość informacyjną, oryginalność koncepcji oraz konsekwencję, z jaką autorka realizuje swój zamysł. Dlatego prezentujemy ją jako pozycję godną uwagi każdego polskiego czytelnika, zainteresowanego szeroko pojętą problematyką kulturową tego regionu Europy, w którym krzyżują się drogi wielkich modeli kulturowych, spotykają rozmaite tradycje językowe, konfesyjne i cywilizacyjne, ścierają interesy historycznych imperiów. Formuła leksykonu przyjęta przez autorkę buduje siatkę wzajemnie splecionych postaci, pojęć, symboli i mitów, które kształtują zarówno obraz chorwackiej tradycji, jak i jej współczesne aktualizacje. Rapacka podkreśla regionalizm i wielokulturowość jako podstawowe cechy modelu chorwackiej kultury, ilustrując to przykładami zaczerpniętymi z literatury historycznej, naukowej oraz pięknej, historycznymi mapami, a także szczególnie istotnymi dziełami plastycznymi i architektonicznymi. *Leksykon* opatrzone obszerną bibliografią, alfabetycznym indeksem haseł oraz zwięzłymi sylwetkami przywołanych w nim historycznych postaci.

M.D.P.

Drago Jančar
ESEJE
 tłum. Joanna Pomorska,
 wybór Krzysztof Czyżewski,
 Pogranicze, Sejny 1999

Wybór esejów, wzbogacony fragmentem powieściowym jednego z najwybitniejszych słoweńskich intelektualistów i pisarzy, jest czwartą książką tego autora wydaną w języku polskim. Przekłady jego esejów drukowano też w wielu polskich czasopismach. Tematyka zaprezentowanych w tej książce tekstów skupiona jest wokół zagadnień narodowych, pojęcia kulturalnej i artystycznej Europy Środkowej, etycznej odpowiedzialności pisarza, relacji pomiędzy wolnością a moralnym zobowiązaniem. Teksty Jančara uwodzą czytelnika swą klarownością i swobodną „wędrówką po tematach”. Ukazują przesycony tolerancją, lecz nie stroniący od refleksji etycznej obraz wydarzeń, które doprowadziły do rozpadu współczesnej Jugosławii. Jančar nie ulega narodowej euforii, surowo osądza wszelkie szowinizmy i towarzyszące im zbrodnicze ekscesy. Jego eseje ukazują nam postać środkowoeuropejskiego intelektualisty, świadomego własnej bezsilności, ale nie uchylającego się przed moralną oceną społecznej i politycznej rzeczywistości współczesnej Słowenii.

M.D.P.

Dubravka Ugrešić
KULTURA KŁAMSTWA
 tłum. Dorota Jovanka Cirić,
 Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław
 1998

Głośna i znakomita książka Dubravki Ugrešić składa się z błyskotliwych, przesyconych zjadliwym poczuciem humoru esejów, charakteryzujących Chorwację lat dziewięćdziesiątych. Chorwację okresu „postmodernistycznej dyktatury” Franja Tudjmana, wywodzącego swój program z historycznej mitologii, tradycji chorwackiego nacjonalizmu i współczesnej narodowej megalomanii. Autorka analizuje operetkową scenę politycznych mitingów, demaskuje absurdalność wynikającą ze zderzenia codzienności z komunistyczno-nacjonalistyczną nowomową, którą powołuje do życia świat realnie nieistniejący, lecz zgodny z życzeniami i urojeniami jego

animatorów. Jest to Gogolowska z ducha, przeżabawna i bardzo poważna, pełna goryczy i racjonalnego dystansu refleksja nad związkami człowieka z Ojczyzną, prowokująca do tego, aby zadać sobie sławne pytanie z *Rewizora*: „Z kogo się śmiejecie?”...

M.D.P.

Pavao Pavličić
PLAC WOLNOŚCI
 tłum. Maria Osmólska-Drozdowska
 Warszawa 1999

Pavao Pavličić, cieszący się dużą popularnością w Chorwacji prozaik, którego książki towarzyszą czytelnikom nieprzerwanie od lat 70-tych, nie był do tej pory znany polskim miłośnikom literatury. Przekład prozy powstałej pod koniec lat 80-tych (a więc jeszcze w czasach „jugosłowiańskich”) pod znaczącym tytułem *Plac Wolności* zapoczątkuje być może obecność na naszym rynku wydawniczym tego utalentowanego i bardzo sprawnego warsztatowo twórcy.

Tytułowy Plac Wolności to szczególne miejsce w rodzinnym mieście narratora (miejsce, gdzie skupiają się wszystkie znaczące punkty, łączące się z najważniejszymi doświadczeniami opowiadacza) skazane na unicestwienie przez lokalnych notabli. Zjednoczeni wspólnym celem mieszkańcy, bez wahania stają w jego obronie i pozostają nieugięci nawet wobec presji użycia siły. Mimo poniesionych ofiar udaje się osiągnąć cel – Plac Wolności pozostaje na mapie. Nazwa placu, co oczywiste, nie jest przypadkowa – odsyła do sensów wiążących się z wolnością, walką o swoje prawa za każdą cenę. Tutaj pojawiają się wątki, które znajdują kontynuację w późniejszych książkach, należących do tzw. „cyklu vukovarskiego”.

D.

Antonije Žalica
ŚLAD SMOCZEJ ŁAPY
 tłum. M. Petryńska,
 Biblioteka Krasnogrudy, Sejny 1999

Jest to książka o Sarajewie w czasie ostatniego konfliktu na Bałkanach. Jej autor to członek niezależnej grupy artystycznej SAGA, który zasłynął jako twórca filmów dokumentalnych. W 1993 roku wyjechał do Amsterdamu, gdzie zaczął wykladać na Akademii Filmowej. W *Śladzie smoczej łapy*, prozie złożonej z kilku cykli, których leitmotivem jest opis prób teatralnych, Žalica ukazał w sposób niezwykle autentyczny, unikając jakiegokolwiek martyrologii, atmosferę rodzinnego miasta, atakowanego zewsząd przez bojówki i regularną armię. Dzięki konwencji dziennika, ciągłym powrotom we wspomnieniach do czasów jugosłowiańskich oraz psychologicznie wiernym portretom typowych przedstawicieli sarajewskiej bohemy artystycznej, udało się pisarzowi (rocznik 1959) opisać cały absurd „bitwy o Sarajewo”.

J.

Maria Dąbrowska-Partyka
TEKSTY I KONTEKSTY. AWANGARDA W KULTURZE LITERACKIEJ SERBÓW I CHORWATÓW
 Wydawnictwo UJ, Kraków 1999

Nowa książka znanej i cenionej slawistki kładzie nacisk na niedostatecznie jeszcze opisane obszary awangardowej świadomości międzywojennych twórców jugosłowiańskich. O wadze i sile tej książki świadczy krytyczne nastawienie do kanonicznych osiągnięć z lat 20-tych i 30-tych oraz propozycja odmiennej od przyjętej w Serbii i Chorwacji hierarchii zjawisk, związanych z awangardą. Dla autorki najważniejszą, choć dotychczas pomijaną w badaniach, strategią awangardy jest autoironia, prowadząca do rewizji myślenia o kulturze. Odrzucając przekonanie o istotności kolektywnych działań awangardowych,

wybrała do analizy, finezyjnie tu przeprowadzonej, takich poetów, będących jednocześnie świetnymi eseistami, w których utworach doszło do głosu: nobilitacja osoby, zrozumienie wielojęzyczności kultury i nowy wizerunek rodzimości. Jedną z ważniejszych pozycji w naukowej slawistyce.

J.

Miloš D. Luković
KRYZYS KOSOWSKI OCZYMA SERBÓW
 Belgrad 1999

Dotarła do naszych rąk przedziwna publikacja, wydana w 300 egzemplarzach po polsku w Belgradzie. Jej autorem jest były lekarz języka serbskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim, prawnik i językoznawca, związany z Serbską Akademią Nauk. Jest to ewidentna literatura propagandowa, broszura polityczna, broniąca stanowiska Miloszevicia w ostatnim konflikcie kosowskim. Autor w sposób tendencyjny, co chwila wpadając w sidła stereotypów, tak charakterystycznych dla nacjonalistów, przedstawia stanowisko Serbów wobec bałkańskiego kryzysu. Ukrywa prawdziwe przyczyny wojny w Kosowie, atakuje politykę amerykańską, a w podtekście także polską za sprzyjanie koncepcji NATO-wskiej. Żeby wzmocnić swoje argumenty powołuje się niemal wyłącznie na prasę rosyjską i chińską (te miejsca w broszurze są chyba najzabawniejsze) oraz wypowiedzi przedstawicieli reżimu Miloszevicia i jego popleczników. Na domiar wszystkiego przekład tego tekstu (o ile to jest przekład, a nie tekst napisany po polsku – takiej informacji nie znajdziemy) jest miejscami skandaliczny, świadczący o zupełnym braku wyuczucia językowego. Zamiast więc faktów i obiektywnej analizy cytaty oficjalnej prasy. Zamiast naukowej precyzji propaganda i subiektywne oceny. Zrozumieć można patriotyczny gest Lukowicia, ale dlaczego „serbski punkt widzenia sprawy” – jak czytamy – staje się jedyną prawdą?

J.

Andzielko Vuletić
DUSZE NA KIJU KLONOWYM
 wybór, wstęp i przekład
 Grzegorz Łatuszyński
 Oficyna Wydawnicza „Agawa”
 Warszawa 1999

Bogaty wybór wierszy chorwackiego poety i prozaika, pochodzącego z Bośni i Hercegowiny. Autor przekładów zapoznał do tej pory polskiego czytelnika z dwiema powieściami Vuleticia, który jako poeta ceniony jest głównie za tom *Kiedy będę wielki jak mrówka* z roku 1976 (ukazał się on także we Francji w latach osiemdziesiątych). Łatuszyński wybrał do polskiego wydania ponad 100 wierszy z sześciu książek poetyckich Chorwata, związanego od lat z Sarajewem (w czasie oblężenia przebywającego w Zagrzebiu). Także z tomu *Ręce mojej matki*, który powstał w czasie bałkańskiego kryzysu (tu przejmujące opisy Sarajewa). Polski wybór bardzo dobrze przedstawia bogaty świat poetycki Vuleticia od początkowej fascynacji rodzimym pejzażem po osobiste refleksje nad tragicznością świata. Przekłady są sprawne, choć nie brakuje tu dosłowności, która niekiedy utrudnia zrozumienie tekstu (chodzi zwłaszcza o trzymanie się inwersji). Przydałaby się lepsza korekta: nieliczne błędy są jednak tak kardynalne, że trudno o nich powiedzieć (np. „z nikąd”, „otkrywamy”, Ciorana imię na pewno nie zaczyna się na M., jak czytamy we wstępie). Jedyne wytłumaczenie może być fakt, że wydawnictwo Agawa znajduje się w rękach rodziny Łatuszyńskich (na 4 str. czytamy: Okładka Krzysztof Łatuszyński, Redakcja Maryla Łatuszyńska, Biblioteka pod redakcją Grzegorza Łatuszyńskiego, korekta Zespół).

J.

Obok: Fragment jednego z nagrobków żołnierzy serbskich poległych w I wojnie światowej.

